



ZEMSTA CYBORGÓW



TERRANCE DICKS



Terrance Dicks

DOKTOR WHO
ZEMSTA CYBORGÓW

Tytuł oryginału DOCTOR WHO - REYENGE OF THE CYBERMEN

Przełożył: Grzegorz Woźniak

Novelization copynght © Gerry Davis 1976

Oficyna Wydawnicza „Empire” Sp. z o.o.

Warszawa 1994. Wydanie I

Historia Cyborgów

Dawno temu - przed wiekami, wedle ziemskiej miary czasu - społeczność pewnej odległej planety o nazwie Telos dążyła do zapewnienia sobie nieśmiertelności. W tym celu rozwinęła cybernetykę medyczną, dzięki której funkcje żywego organizmu były przejmowane przez urządzenia techniczne. Gdy człowiek zachorował lub się zestarzał, jego zniszczone narządy były zastępowane sztucznymi tkankami ze stali i plastiku.

Zrazu odnosiło się to do stosunkowo prostych zabiegów, później jednak zdołano także stworzyć cybernetyczne układy krążenia i nerwowy, a na koniec ludzki mózg zastąpiono komputerem. I tak powstał pierwszy Cyborg.

Stalowe kończyny Cyborgów były znacznie potężniejsze niż ludzkie, a niezależny od otoczenia system oddychania umożliwiał im normalne funkcjonowanie również w próżni kosmicznej. Ich ciała nie reagowały nawet na największe zimno czy też gorąco, a elektroniczne mózgi odznaczały się wybitną inteligencją. Potężne, srebrzyste istoty były właściwie niezniszczalne.

Miały wszakże jeden słaby punkt, jeśli oceniać je z ludzkiego punktu widzenia. Otóż nie doznawały żadnych uczuć, bowiem nie miały serca. Z chwilą gdy ostatecznie wyeliminowano z ich organizmów ludzkie tkanki, istoty te straciły zdolność okazywania miłości i nienawiści, gniewu i radości, strachu i odwagi. Wszystko to zastąpiły żelaznymi zasadami czystej logiki.

Osiągnęły nieśmiertelność, ale zapłaciły za to straszliwą cenę. Stały się bowiem potworami bez ludzkich doznań i jak ich ziem-

**scy pobratymcy, których było tak wielu w historii naszej planety,
powodowały się tylko jednym - żądzą władzy.**

Ryzyko raz jeszcze

Zawieszona w głębokiej pustce przestrzeni kosmicznej stacja namiarowa Nerva wirowała jak wielki żyroskop. Nie było w niej żadnych oznak życia. Pustką ziały pomieszczenia sterownicze, korytarze i kabiny załogi.

W opustoszałej sterowni, gdzie tylko powietrze zdawało się drgać jak na pustyni, nagle pojawiło się troje ludzi. Szczupła, przystojna brunetka, barczysty, potężnie zbudowany młody mężczyzna oraz wysoki chudeusz, odziany z elegancją właściwą bohemie, w długim szalu na szyi i w pamiętającym lepsze czasy filcowym kapeluszu na wielkiej grzywie kręconych brązowych włosów, wyłonili się jakby z nicości. Dziewczyna nazywała się Sara Jane Smith, młody człowiek - Harry Sullivan, zaś ich towarzysza - tajemniczego podróżnika, który niezmordowanie pokonywał Czas i Przestrzeń - zwano Doktorem.

Sara otrząsnęła się i z wyraźną ulgą obrzuciła wzrokiem znajome wnętrze.

- Dzięki Bogu, udało się - powiedziała. Coś jednak nie dawało jej spokoju. Wszystko wyglądało niby tak samo, a jednak inaczej. - A więc udało się, czy nie? - spojrzała pytająco na Doktora.

- Ależ oczywiście, że tak. Czyżbyś miała wątpliwości? - Doktor, wieczny optymista, nie pojmował, jak w ogóle można żywić jakiegokolwiek obawy.

Owszem - odparła Sara z przekonaniem. - I to nie raz w ciągu ostatnich kilku tygodni.

Słyszając to Harry Sullivan uśmiechnął się lekko i przyznał w duchu rację Sarze. On też, nie raz i nie dwa, od czasu gdy spotkali Doktora, zastanawiał się, czy rzeczywiście uda się im ująć z życiem z tego wszystkiego.

Zaczął się zaś od owej okropnej sprawy dotyczącej Robotów Gigantów, kiedy to właśnie jemu - Harry'emu Sullivanowi, nowo mianowanemu lekarzowi w UNIT (United Nations Intelligence Taskforce - Wydzielony Oddział Wywiadowczy Narodów Zjednoczonych) powierzono opiekę nad doradcą naukowym UNIT, czyli właśnie nad Doktorem, dochodzącym do zdrowia po jakiejś tajemniczej chorobie, która całkowicie go odmieniła, a przynajmniej tak to wyglądało. Sprawa Robotów była rzeczywiście dość nieprzyjemna, lecz przynajmniej wydarzyła się na Ziemi, podczas gdy obecnie Harry nie miał żadnej pewności, czy jeszcze kiedykolwiek będzie mógł ją ujrzeć, bowiem od czasu, gdy pośpiesznie wsiadł z Doktorem i Sarą do czegoś, co wyglądało jak stara budka policyjna, los zgotował mu liczne i niebywałe przygody w Czasie i Przestrzeni.

Tym razem nie korzystali z owej budki policyjnej, czyli z doktorowego TARDIS, posługiwali się Bransoletą Czasu, oddaną im do dyspozycji przez tajemniczych przełożonych Doktora - Władców Czasu. I właśnie dzięki tej bransolecie dostali się na powrót do stacji kosmicznej, gdzie już kiedyś przeżyli pewną przygodę i skąd za pomocą TARDIS mieli powrócić do domu. Harry rozejrzał się po pustej sterowni.

- Wydaje mi się, Doktorze, że nie ma tu TARDIS.
- Zastanawiałem się właśnie, kiedy wreszcie to powiesz - westchnął Doktor.

- Coś jest nie tak? - Sara spojrzała na niego z wyrzutem.

- Ale na Bransolecie Czasu można polegać - rzekł Doktor, spoglądając znacząco na rękę i na ciężką, bogato zdobioną bransoletę. - Chyba - dodał ze smutkiem - chyba, że mamy do czynienia z molekularnym krótkim spięciem.

- Trudno, panie Doktorze - rzekła Sara. - Niech pan szczerze powie. Gdzie jest TARDIS?

Doktor przejechał palcami po swej bujnej czuprynie i spokojnie wyjaśnił:

- Wydaje mi się, że nastąpiło pewne drobne przesunięcie w czasie. Przybyliśmy nieco za wcześnie i jeszcze tu nie ma TARDIS. - Był zadowolony, jakby udało mu się rozwiązać skomplikowaną zagadkę.

- O ile za wcześnie? - naciskała Sara.

- Czy ja wiem, o tysiąclecie, czy coś koło tego! - Doktor skupił wzrok na instrumentach sterowniczych. - Otóż w tej epoce, w której się znajdujemy, stacja spełnia swoją pierwotną funkcję, a więc służy jako punkt orientacyjny i placówka serwisowa dla transportowców kosmicznych.

- To znaczy, że przyjdzie nam tu czekać jakieś tysiąc lat, nim zjawi się TARDIS?

- Ależ nie. Bo widzisz, Saro, TARDIS w istocie podąża ku nam i gdy tylko Władcy Czasu zorientują się w naszej sytuacji, przyspieszą jego bieg. - Doktor zdjął Bransoletę Czasu, potrząsnął nią, jakby chciał wykrzesać z niej iskierkę życia, jeszcze raz starannie obejrzał i wreszcie rzucił, jakby od niechcienia, na pulpit.

- Nie będzie już potrzebna? - zdziwił się Harry.

- Absolutnie.
- Czy mogę zatrzymać ją na pamiątkę?
- Ależ oczywiście - zachichotał Doktor. - Tylko uważaj...
- Naturalnie! Bardzo panu dziękuję - rzekł Harry i już miał sięgnąć po bransoletę, gdy ta nagle drgnęła i... znikła.

- Wiedział pan, że tak będzie - powiedział Harry z wyrzutem.

- Kto? Ja? - odparł Doktor z niewinną miną i nie czekając na reakcję swoich towarzyszy, dodał: - Trzeba się rozejrzeć, a zresztą i tak nie mamy nic innego do roboty. Tu, jeśli dobrze pamiętam, jest przejście na główny korytarz, prowadzący wokół stacji.

Doktor odsunął drzwi, zza których osunęły się na niego ludzkie zwłoki. Odruchowo odskoczył i martwe ciało, nie znajdując oparcia, z impetem upadło na podłogę. Zaległo pełne przerażenia milczenie. Zmarły mógł mieć koło trzydziestki. Był ubrany w typowy kombinezon kosmicznej służby technicznej.

Harry ukląkł i ze znajomością rzeczy przeprowadził krótkie badanie.

- Nie żyje. Biedaczysko...
- Dawno? - Doktor oczekiwał konkretów.
- Trudno powiedzieć. Tydzień lub dwa, a może nieco dłużej. Zdziwiająca, że proces rozkładu ledwie się zaczął.

- No cóż - skomentował Doktor - sterylna atmosfera. Przyczyna zgonu?

- Nie widzę żadnych uszkodzeń ciała, musiałbym więc przeprowadzić sekcję...

- Wspierał się o drzwi, gdy nastąpiła śmierć - zauważyła Sara, która wreszcie odzyskała mowę. - Tylko jak to się stało, że zostawiono go tam na całe dwa tygodnie. Co pan o tym myśli, Doktorze?

- No cóż, w normalnych warunkach ktoś by się nim zajął. Musiało się stać coś naprawdę poważnego.

Doktor ominął zwłoki i wyszedł. Ledwie jednak przekroczył próg, zmarł, jakby rażony piorunem. Harry i Sara ruszyli za nim, ale widok, który ujrzeli, sparaliżował ich także.

Korytarz prowadził wokół całej stacji i jak daleko mogli rzucić wzrokiem, widzieli tylko martwe ciała, dziesiątki ludzkich zwłok, leżących w najprzeróżniejszych pozach, jakby śmierć przyszła znienacka.

- Nie żyją. Zginęli wszyscy. Nie ma tu żywego ducha! - Sara ukryła twarz na ramieniu Doktora.

Myliła się. Na stacji namiarowej Nerva tliło się jeszcze życie. W małej sterowni po drugiej stronie głównego kompleksu padający z wyczerpania technik łączności, Warner, starał się czuwać przy pulpicie. Ocknął się na dźwięk sygnału w głośniku. Przetarł oczy, sprawdził ekran radaru, włączył mikrofon.

- Stacja namiarowa Nerva wzywa lot Pluton-Ziemia jeden-pieć. Jak mnie słyszycie?

- Potwierdzamy łączność, Nerva. Lądujemy zgodnie z rozkładem o trzynastej dwadzieścia.

- Lądowanie wykluczone. Powtarzam, lądowanie wykluczo-

ne. Stacja Nerva jest objęta kwarantanną. Mamy epidemię kosmiczną. Kierujcie się na stację namiarową Ganymede, jeden-dziewięć-sześć-zero-siedem-zero-dwa. Powtórzyć namiar?

- Dziękujemy, znamy kurs. - W głośniku zaległa cisza, ale po chwili pełen niepokoju głos zapytał: - A jaka jest sytuacja? Możemy w czymś pomóc?

- Dzięki za dobre chęci - odparł Warner z gorzkim uśmiechem, starając się, aby jego głos nie zdradził całej grozy sytuacji - ale niczego nie potrzebujemy. Nasi medycy dają sobie radę i już opanowali epidemię.

W głośniku znów zaległa cisza.

- Mamy prośbę, Nerva - rozległo się po dłuższej chwili. - Nasz pierwszy oficer chciałby się dowiedzieć o zdrowie brata. Nazywa się sierżant Colville, służy u was. Jak się czuje albo...

Warner westchnął w duchu.

- Jedną chwilę. Sprawdzę - starał się odpowiedzieć rzeczowym tonem. Nacisnął przełącznik interkomu, a jednocześnie zamknął kanał zewnętrzny, aby nie słyszano go na transportowcu.

- Warner do kapitana Stevensona...

W kajucie załogowej dowódca stacji z trudem podniósł się z koi. Ciężkim krokiem podszedł do konsoly łączności.

- Tu Stevenson.

- Mam łączność z lotem Pluton-Ziemia. Ktoś z ich załogi pyta o brata, sierżanta Colville'a. Co mam im powiedzieć?

Kapitan przetaił zmęczone, zaczerwienione oczy. Colville zmarł, jak wszyscy poza Warnerem i jeszcze dwoma ludźmi. Z przeszło

czterdziestoosobowej załogi pozostała przy życiu tylko ich czwórka.

- Powiedz, że Colville czuje się dobrze - powiedział ponuro - i że epidemię już opanowano. To wszystko. - Stevenson wyłączył interkom i ciężko oparł się o konsolę. Z koi obok podniósł się cywilny pasażer, Kellman. Nie należał do załogi, nie miał żadnych obowiązków, więc inaczej niż pozostała trójka - Stevenson, Warner i jeszcze jeden z ich zespołu, którzy ledwie trzymali się na nogach - wyglądał zdrowo, był wypoczęty i wyspany.

- A czemu nie powie pan prawdy? - zapytał Kellman ze zwykłym sobie sarkazmem.

- Bo takie są rozkazy Centralnego Dowództwa Ziemi. - Kapitan był zbyt znużony i zmęczony, żeby zareagować inaczej.

- Macie trwać na posterunku do ostatniego człowieka?

- Jeśli trzeba będzie, tak. A resztą - dodał zirytowany Stevenson - pan i tak tego nie zrozumie, profesorze. Nie nosi pan munduru.

- Ciekawe, jak długo się wam uda to ciągnąć - w trzy osoby robić to, co robiło czterdziestu trzech ludzi - skomentował Kellman ziewając.

Wymiana zdań obudziła pozostałego członka załogi Nery. Lester, bo tak się nazywał barczysty, silny mężczyzna, podniósł się z koi i groźnie spojrział na Kellmana.

- Niech pan będzie spokojny, profesorze. Pracujemy we trójkę już od trzech tygodni i na pewno wytrwamy jeszcze trochę.

- Może tydzień, góra dwa, ale nie więcej. Wasza stacja to już tylko wrak, Lester.

- Nerva musi funkcjonować do czasu, aż wszystkie transpor-

townicy uzyskają informacje o położeniu nowej planetoidy. W przeciwnym bowiem wypadku może dojść do kolizji w kosmosie - wyjaśnił cierpliwie Stevenson.

- Zasługujecie na medal, na nagrodę za głupotę! - skomentował Kellman.

Lester ruszył ku niemu z zaciśniętymi pięściami, ale Kellman był szybszy. Zrobił unik i opuścił kabinę, zamykając za sobą drzwi. Lester wrócił na swoje miejsce na koi.

- Straciłem prawie całą załogę - rzekł Stevenson z żalem. - Odeszli wspaniali ludzie, a taka kreatura, Kellman, nie daje człowiekowi spokoju.

- Właśnie - zawtórował Lester. - Jak tylko wybuchła epidemia, ten drań zamknął się u siebie, a teraz, gdy zaraza wygasła, bez przerwy wtrąca się do wszystkiego. Sterczy przy nas jak hiena. - To ostatnie wypowiedział już cicho i niewyraźnie, pogrążając się w przerwany śnie.

Stevenson zajął się rozkazami na biurku. Trzech ludzi nie podoła obowiązkowi czterdziestu trzech. Kellman, niestety, ma rację. Dłużej już nie pociągną, nie dadzą rady. Gdyby jeszcze Kellman trochę pomógł, ale gdzież tam! Ciągłe odmawia, zasłaniając się brakiem kompetencji, choć przecież jest egzografem, wybitnym fachowcem w zakresie pomiarów planetarnych. To właśnie jemu powierzono badania nowej planetoidy, która w tajemniczy sposób pojawiła się w orbicie Jupitera. Zakończył prace przed wybuchem epidemii i obecnie nie miał już nic do roboty. Działał tylko na nerwy ocalałym członkom załogi. Jak to się stało, zastanawiał się Stevenson, że zaraza oszczędziła kogoś nie dosyć, że najmniej przydatne-

go, ale jeszcze tak złośliwego.

Sara Jane Smith do końca życia będzie pamiętać koszmarny widok, jaki roztaczał się przed jej oczami w głównym korytarzu stacji. Szła za Doktorem, starając się znaleźć drogę między dziesiątkami martwych ciał. W pewnej chwili, na skutek nieostrożnego ruchu Doktora, jakieś zwłoki podskoczyły do góry, wyciągając ku niej rozczapierzone jak szpony palce. Krzyknęła z przerażenia i przymknęła oczy. Gdy znów je otworzyła, zauważyła, że Doktor stoi w miejscu. Dalszą drogę zamykały stalowe drzwi. Doktor majstrował w tablicy rozdzielczej znajdującej się na ścianie korytarza.

- Coś się zacięło - mruknął, bezskutecznie uruchamiając przyciski.

- A więc dotarliśmy do kresu wycieczki - rzekł Harry z ponurą miną. Zerknął współczująco na Sarę. Rozumiał, że dziewczyna nie znieśnie ponownej wędrówki wśród zwłok.

- Ci chłopcy też nie mogli pójść dalej - Doktor machnął ręką w kierunku powalonych ciał. - Została im odcięta droga, aby tu umarli, a sprawca tego musi się znajdować po drugiej stronie drzwi. - Wyjął z kieszeni soniczny śrubokręt i zaczął rozmontowywać tablicę rozdzielczą.

- Naprawdę chce pan otworzyć te drzwi? - Harry miał wątpliwości.

- Zawsze lepiej wiedzieć, z czym się ma do czynienia. A poza tym TARDIS może pojawić się w każdym miejscu tej stacji, więc musimy sobie zapewnić pełną swobodę ruchów - dodał Doktor nie przerywając pracy.

- Nic się nie martw - Harry pocieszał Sarę. - Zaraz stąd wyjdziemy.

Podczas gdy Doktor zręcznie rozmontowywał skręconą wiązkę przewodów w ścianie, za ich plecami coś się poruszyło w korytarzu i przemknęło między zwłokami, łypiąc wielkimi, czerwonymi elektronicznymi oczami. Metalowa bestia w kształcie trójkąta połyskiwała łuskami jak ryba i przypominała z grubsza wielkiego, żelaznego szczura. Niepostrzeżenie zbliżyła się do trójki kosmicznych wędrowców. Zatrzymała się parę metrów od Sary, gotując się do skoku...

Cyberczur atakuje

Gdyby nie to, że w ostatniej chwili kątem oka zobaczyła, co się święci, Sara nie wyszłaby z tej przygody cała. Metalowy stwór przesunął się nieco w jedną stronę, wyraźnie mierząc w gardło dziewczyny. Sara zareagowała jak typowa kobieta - zapiszczała ze strachu. Doktor obejrzał się i wycelował swój soniczny śrubokręt prosto w łeb bestii. Elektroniczne oczy zaiskrzyły pod wpływem wiązki fal naddźwiękowych, po czym napastnik zawrócił i z niebywałą szybkością zbiegł w głąb korytarza i zniknął w zakratowanym otworze przy podłodze jak mysz w dziurze.

- Co to było? - Harry też był zaskoczony. - Żelazny szczur?

- Cyberczur - odparł Doktor krótko i nie wdając się w dalsze wyjaśnienia, powrócił do przerwanej pracy.

Warner przysypiał przy konsolecie. Wkrótce kończył służbę i marzył o kilku przynajmniej godzinach snu. Miał nadzieję, że ostatnie minuty dyżuru upłyną spokojnie, bez nadzwyczajnych wydarzeń. Rozkład nie przewidywał na razie żadnych lotów w rejonie Nervy, chyba że zjawi się jakiś nie zapowiadany transportowiec. Spokój w eterze działał jednak usypiająco i Warner z trudem otwierał oczy. Na pół świadomie zaczął sobie wyobrażać, że rzeczywiście zasnął, gdy tymczasem w eterze ogłoszono alarm. Oczami wyobraźni widział siebie przed sądem wojskowym, który ogłasza wyrok skazujący za karygodne zaniedbanie obowiązków. Przez dobrą

chwilę nie był pewien, czy tylko śni, czy rzeczywiście słyszy głos dobiegający z głośnika.

- Wzywam stację namiarową Nerva. Jak mnie słyszycie?
Wzywam stację Nerva... - Głos był dziwny, gardłowy i wyjątkowo niski.

Warner ocknął się i sięgnął po mikrofon.

- Tu Nerva! Jak mnie słyszycie?
- W porządku - potwierdził dziwny głos. - To naprawdę Nerva?

Warner dostroił odbiornik, aby lepiej słyszeć.

- Słyszę was, ale bardzo słabo. Proszę przejść na jeden-dwadsiedem-koma-trzy-pięć i powtórzyć wiadomość. - Przełączył odpowiednie przyciski, ale głośnik milczał. Na konsolę padł cień. Warner podniósł wzrok i zobaczył, że do pokoju wszedł Kellman i rozgląda się z ciekawością. Warner jeszcze raz przeszukał pasmo. Żadnego sygnału.

- Jest pan pewien, panie profesorze, że ta nowa pańska planetoida jest nie zamieszкана?

- Voga? Ależ oczywiście. Co też panu przychodzi do głowy?

Warner pokazał obraz planetoidy na monitorze. Zawieszona w pustce wyglądała tajemniczo i groźnie.

- Właśnie odebrałem dziwny sygnał. Mógł pochodzić tylko stąd - stuknął znacząco w szkło ekranu.

- Halucynacje, Warner. Jest pan zmęczony. Tyle godzin przy konsolce.

Warner ziewnął i przetarł oczy. Jeszcze raz zastukał palcem w ekran

monitora.

- **A skąd ona się właściwie wzięła?**

- **Nikt nie wie. Sądzi się, że weszła do naszego systemu jakiś czas temu. Odkryto ją dopiero wtedy, gdy zaczęła obiegać Júpitera.**

- **Ale czy naprawdę jest martwa? - nalegał Warner.**

- **Nie może być inaczej. Na planetoidzie tej wielkości, która w dodatku zdryfowała z jednej galaktyki do drugiej, nie może być życia.**

- **A jednak - upierał się Warner - właśnie stamtąd zarejestrowałem przed chwilą sygnał.**

- **Jak pan wie, Warner, jestem egzografem i byłem na Vodze. Instalowałem tam stację do transmateralizacji i przez sześć miesięcy badałem próbki gruntu. Zapewniam pana, że planetoida jest nie zamieszkana... co pan robi?**

Warner pracowicie wystukiwał coś na klawiaturze komputera. Na monitorze ukazał się świecący napis: Dzień 3, tydzień 47, godzina 18.37, nie zidentyfikowany sygnał z rejonu Vogii.

- **Odnótowuję sprawę w dzienniku pokładowym - wyjaśnił.**

- **Oszalał pan? Ile razy już wam mówiłem, że trzeba zamknąć to pomieszczenie - warknął Kellman.**

Warnera zdziwiła ta gwałtowna reakcja.

- **To nie pańska sprawa, taki jest rozkaz dowódcy! Kellman opanował się.**

- **Sterownia jest na granicy terenu objętego epidemią i tędy może przenosić się zaraza. Trzeba to wszystko zamknąć, bo inaczej nikt się nie uratuje.**

- Jeśli tak, to czemu pan ciągle tutaj zagląda? A zresztą, wszystkie decyzje należą do dowódcy.

Kellman chciał coś jeszcze powiedzieć, ale zmienił zamiar i wyszedł. Warner skupił uwagę na ekranach radarowych. Żadnych sygnałów. Ziewnął i przeciągnął się. Jeszcze trochę i zjawi się Lester, żeby go zastąpić. Zastanawiał się tylko, dlaczego Kellman tak się zirytował sygnałem z Vogli.

W głównym korytarzu Doktor uporał się wreszcie z tablicą rozdzielczą, która blokowała drzwi. Sięgnął ręką i namacał po drugiej stronie przycisk.

- A teraz - powiedział - proszę, żeby jedno z was przytrzymało drzwi, aby nie otworzyły się zbyt gwałtownie...

Harry Sullivan wsparł się całym ciałem o nie, a Doktor nacisnął guzik.

-...bo widzicie - ciągnął dalej - nie chciałbym się rozstać ze swoją górną kończyną tylko dlatego, że muszę otworzyć w ten oto sposób...

Drzwi zaczęły się rozsuwać. Doktor pośpiesznie wysunął rękę z otworu.

Dał znak Harry'emu, żeby opuścił swój posterunek. Drzwi otworzyły się na całą szerokość. Sara zerknęła na drugą stronę i z ulgą stwierdziła, że nie ma tam żadnych zwłok. Przeszli przez próg. Doktor uruchomił przyciski zamka i drzwi zamknęły się za nimi. Ostrożnie ruszyli dalej, w głąb stacji.

Warner ocknął się z drzemki, gdy na jednym z ekranów po-

jawił się sygnał ostrzegawczy. Włączył mikrofon interkomu.

- Kapitanie, mam sygnał, że ktoś uruchomił służę w głównym korytarzu. Wiem, że to raczej niemożliwe, ale jednak tak pokazują przyrządy.

- W porządku Warner, zaraz to sprawdzimy. Stevenson spojrzął na Lestera, a ten niedowierzająco pokręcił głową.

- Przecież w tamtej części stacji nikt nie ocalał podczas epidemii. To niemożliwe.

- Osobiście zamknąłem i zaplombowałem służę - rzekł dowódca. - Na wszelki wypadek trzeba jednak pójść i sprawdzić, co się dzieje. - Podeszedł do szafki z bronią i wyjął dwa ręczne miotacze, dla siebie i dla Lestera. - Na wszelki wypadek - powtórzył i obaj wyszli z kabiny.

A w radiostacji zaskoczony wydarzeniami Warner wpatrywał się w obraz tajemniczej planetoidy na monitorze.

Warner miał rację. Sygnał rzeczywiście pochodził z Vogii, gdzie teraz w punkcie dowodzenia, znajdującym się głęboko pod powierzchnią leżał na konsolecie martwy radiooperator, który nadał wiadomość, a nad nim, z dymiącym jeszcze miotaczem w ręku, stał jego zabójca.

Do sali weszło dwóch osobników. Sylwetki ich przypominały mieszkańców Ziemi, z tym jednak, że mieli wydatne, wysoko sklepione czoła, pokryte ciemną sierścią oblicza i wielkie, błyszczące oczy, jak u istot nawykłych do przebywania w mroku. I rzeczywiście, oświetlenie sali było zbyt skąpe dla ludzkiego oka, ale wystarczające dla tych tajemniczych postaci. Zabity radiooperator był

ubrany w zwykły roboczy kombinezon, natomiast dwaj przybysze mieli na sobie stroje znamionujące wyższą rangę: szerokie płaszcze, złote łańcuchy na piersiach i złote klamry u pasów.

Starszy z nich, Vorus, dotknął zmarłego czubkiem zdobionego złotem buta. Ciało osunęło się na podłogę jak worek piasku. Spojrzał błyszczącymi oczami na strażnika w służbowym uniformie.

- Postąpiłeś słusznie - pochwalił. - Nie minie cię nagroda. Tymczasem zabierz go stąd i pogrzeb głęboko.

Strażnik wziął się do dzieła. Magrik, asystent Vorusa, zbliżył się nieco i w pozie pełnej szacunku czekał na polecenia swego szefa.

- Dlaczego? - mruknął Vorus. - Nie rozumiem, dlaczego on to zrobił.

- Być może przestraszył się twoich planów, Vorusie - wtrącił Magrik. - W istocie mnie też czasem przechodzą ciarki po grzbiecie.

- No dobrze, ale nie dopuściłbyś się zdrady, nie wysłałbyś sygnału do ludzi. Nic nas przecież z nimi nie łączy.

- Oczywiście, że nie - zapewnił Magrik. - Rzecz tylko w tym, że twój plan jest wielce skomplikowany i tyle w nim niewiadomych...

Vorus stłumił irytację. Magrik jest głupcem, ale to wybitny naukowiec i może być potrzebny. Vorus objął go ojcowskim gestem.

- Nie bój się, Magrik. Nie ma powodów do obaw. Plan jest doskonały i nic złego nie może się wydarzyć. Zrealizujemy go, ty i ja! W odpowiednim czasie zniszczymy Nerve. Ta ich wspaniała stacja namiarowa zamieni się w pył, który po wieczne czasy będzie krążyć w przestrzeni.

- Ale czy możemy polegać na naszym agencie?

- Rękojmnią jest jego chciwość - odparł Vorus z pewnością siebie. - Złoto, mój Magriku - ciągnął stukając znacząco w grubą klamrę u pasa - otóż złoto to jest coś, czemu nie oprze się żaden człowiek. Tu zaś, na Vodze, znajduje się go więcej niż w całej galaktyce.

- No dobrze - rzekł Magrik, nadal pełen wątpliwości - jeśli nasz agent jest rzeczywiście godny zaufania, to dlaczego jeszcze nie dał znać?

- Postępuje słusznie. Pamiętaj, że Cyborgowie mogą być na podsłuchu. Magrik aż zadrżał.

- Nawet wzmianka o nich przejmuje grozą - powiedział wyraźnie przerażony.

- Boisz się - stwierdził Vorus pojednawczo - ponieważ zbyt długo przebywałeś w ciemności. Gdy poprowadzę nasz naród ku światłu, wszystkie obawy pierzchną. Zadamy klęskę Cyborgom.

- Masz rację, Vorusie. Wiem, że masz rację. Gdybym tylko tak się nie bał...

Warner z najwyższym trudem walczył z sennością. Lester się spóźnia. Już dawno powinien przejąć służbę. Wiedział jednak, że to on sam ponosi winę za to spóźnienie. Przecież zasygnalizował dowódcy, że coś dziwnego dzieje się w głównym korytarzu i teraz pewnie kapitan z Lesterem uganiają się po całej stacji, szukając nie wiadomo czego.

Z zakratowanego otworu w podłodze wysunęła się cicho sylwetka cyberczura. Zatrzymał się i czujnie potoczył elektronicz-

nymi ślepiami po pomieszczeniu. Wyłowił wzrokiem Warnera i już nie odwracał oczu, sunąc w jego kierunku. Zatrzymał się, przycupnął i jak rakieta skoczył w górę ku gardłu. Warner dostrzegł metalową bestię, gdy było już za późno. Poczuł tylko chłód metalu na szyi i dwa potężne ukłucia na karku. Bardziej instynktownie niż świadomie zerwał z siebie potwora i rzucił nim o ścianę. Bestia upadła z trzaskiem, ale uderzenie nie uszkodziło żadnego systemu. Cyberczur potoczył się ku kracie i znikł.

Warner miał wrażenie, że w jego żyłach płynie wrzący ołów. W uszach mu szumiało. Ostatkiem sił próbował jeszcze uruchomić alarm, ale osunął się na podłogę i ogarnęła go ciemność.

W drzwiach stanął Kellman. Rzucił wzrokiem na nieprzytomnego Warnera i uśmiechając się z wyraźną satysfakcją, podszedł do konsoli sterowniczej. Wyjął kasetę z zapisem bieżących meldunków, schował do kieszeni, raz jeszcze spojrzął na Warnera i opuścił pomieszczenie.

Lester i Stevenson byli całkowicie zaskoczeni widokiem drzwi w śluzie.

- Śruby wykręcono z drugiej strony - ocenił dowódca.
- Ale jak, kapitanie? Po drugiej stronie są one zaślepione i nie ma sposobu, żeby je uchwycić.
- No cóż, myślę, że użyto czegoś w rodzaju sonicznego wibratora.
- To jakieś wymyślne urządzenie, ale nie mamy przecież czegoś takiego na pokładzie.
- No właśnie. Warner miał rację. Ktoś tędy przechodził.

Chodźmy - Stevenson odbezpieczył miotacz - trzeba sprawdzić wszystkie sekcje stacji. - Gestem ręki nakazał podwładnemu milczenie.

Doktor, Sara i Harry stali w drzwiach opustoszałej sterowni.

- Chyba chodzimy w kółko - powiedziała Sara. - Jestem pewna, że już tu byliśmy.

- Chyba jednak nie - Doktor poklepał ją po ramieniu. - Byliśmy w części rufowej, a teraz jesteście w sekcji dziobowej stacji.

- Wszystko jedno - mruknął Harry. - Najgorsze, że nie ma ani śladu TARDIS.

- Na pewno się zjawi - uśmiechnął się Doktor.

- Chciał pan powiedzieć, zmaterializuje się - Harry był pełen wątpliwości.

- Masz rację. Rzecz tylko w tym, że musimy być we właściwym miejscu, gdy to nastąpi. Trzeba go przechwycić, gdy osiągnie nasze koordynaty czasowe, w przeciwnym bowiem wypadku zaczniesz dalej dryfować.

- To trudniejsze, niż złapać autobus w Londynie - wtrąciła Sara, wyobrażając sobie, jak to TARDIS unosi się w czasoprzestrzeni i ciągle wymyka się z ich koordynatów.

W tym momencie do sterowni wkroczyło dwóch ludzi, uzbrojonych w miotacze. Wycelowali broń w trójkę wędrowców. Doktor jakby nie dostrzegł intruzów.

- No więc, gdy się zjawi... - ciągnął rozpoczętą wcześniej myśl.

- Ręce do góry! - warknął starszy z przybyszów.

- Jeśli pan sobie życzy - rzekł Doktor pojednawczo, unosząc rękę. - A więc, jak już mówiłem, Harry, kiedy już TARDIS się zjawi...

Młodszy z intruzów był całkowicie zaskoczony takim obrotem sprawy. Nie rozumiał stoickiego spokoju nieznanego.

- Kim jesteście? Skąd przybywacie, jak się tutaj dostaliście?
- zawołał.

- To panna Sara Jane Smith - Doktor uprzejmie przedstawiał swoich towarzyszy. Czynił honory domu jak na oficjalnym przyjęciu w ambasadzie. - Ten młody człowiek to Harry Sullivan. Mnie zaś nazywają Doktorem. A kim wy jesteście?

- Moje nazwisko Lester, a to kapitan Stevenson. Chciałbym wiedzieć...

W drzwiach stanął jeszcze jeden mężczyzna. Stevenson był wyraźnie niezadowolony.

- Czego pan chce, profesorze Kellman? Jak pan widzi, mamy tu trochę zajęć.

Kellman obrzucił trójkę nieznanym ciekawym spojrzeniem.

- Niech pan lepiej pójdzie do sterowni, kapitanie. Mamy nagły wypadek. Stevenson zawahał się, a następnie machnął miotaczem w stronę Doktora i pozostałej dwójki.

- W porządku. Idziecie z nami. Ruszamy.

W kilka chwil później wszyscy znaleźli się w sterowni, gdzie

na podłodze leżał radiooperator.

- Warner! - zawołał Stevenson, pochylając się nad podwładnym. Delikatnie obrócił ciało. Od gardła Warnera aż po skroń biegła cała siatka czarnych linii.

Kapitan podniósł się z kolan. Twarz miał ściągniętą, poważną. Spojrzał ze smutkiem na Lestera.

- Chce pan, żebym ja to zrobił? - zapytał Lester.

- Nie, to mój obowiązek - odparł Stevenson i wymierzył miotacz w głowę Warnera.

- Zatrzymajcie się - krzyknęła Sara. - Tak nie wolno...

- Ten człowiek zapadł na kosmiczną zarazę i jest tylko jeden sposób postępowania.

- Ależ on jest chory, trzeba się nim zająć.

- Na to nie ma lekarstwa. A tylko w jeden sposób można zapobiec dalszej epidemii. Trzeba go zastrzelić.

Doktor w ogniu

Zachowując zimną krew, Doktor stanął przed Stevensonem i zasłonił sobą Warnera.

- Przykro mi - rzekł cicho - ale nie mogę na to pozwolić. - Powiedział to z taką mocą, że Stevenson opuścił miotacz, nim zdołał jeszcze pomyśleć, co się dzieje.

- Pan nie może na to pozwolić? A kimże pan jest?

- Tak się składa, że jestem lekarzem. Podobnie jak mój towarzysz. Panna Sara jest naszą asystentką.

- Najlepiej będzie, jeśli zabije pan tę podejrzaną trójkę, kapitanie - wtrącił się Kellman. - Ostrzegam pana, że zawlekli tu zarazę.

Doktor spojrział z niesmakiem na Kellmana.

- A któż to jest ten osobnik opanowany morderczą manią? Stevenson zbył pytanie milczeniem i z pełną nadziei uwagą popatrzył na Doktora.

- A więc jesteście lekarzami? Czy przysyła was Centrala na Ziemi?

- Owszem jesteśmy Ziemianami - odparł Doktor, uznając, że w tych okolicznościach lepiej nie wdawać się w szczegóły. - Przybyliśmy, żeby wam pomóc. - Doktor ukląkł przy Warnerze.

- Pomóc? - znów wtrącił się Kellman. - A zdajecie sobie sprawę, że przenieśliście zarazę z rufy na dziób?

Sara nie była specjalistką, ale nawet ona dostrzegła oczywi-

sty błąd w tym stwierdzeniu.

- Niech pan nie opowiada głupstw - powiedziała ostrym tonem. - Jeśli to my mielibyśmy przywlec zarazę, to jak pan wytłumaczy, że jesteśmy zdrowi, podczas gdy ten człowiek zachorował, nim jeszcze się zjawiliśmy?

- A może zakłada pan, że wirus ot tak zeskokczył z nas i poleciał przodem - zakpił Harry.

- Tymczasem - rzekł Doktor podnosząc się - mogę pana zapewnić, kapitanie, że ani ten człowiek, ani pozostali nie padli ofiarą zarazy.

Stevenson zmęczonym ruchem przetarł czoło.

- Nasi medycy byli innego zdania.

- Czy zdołali ustalić, co to za wirus? - zapytał Doktor.

- Nie zdążyli - pośpieszył z odpowiedzią Lester. - Tak się złożyło, że chłopcy z zespołu medycznego zachorowali na samym początku.

- Co pan powie? Czy nie uważają panowie, że to dość dziwna sprawa?

- Sądziliśmy, że epidemia zaczęła się od laboratorium medycznego. Być może doszło do mutacji drobnoustrojów.

- Wątpię - przerwał Doktor. - Ale oto ma pan nowy zespół medyczny do dyspozycji. Doktorze Sullivan, zechce pan zbadać pacjenta. Ja mam coś jeszcze do zrobienia.

Kapitan Stevenson ze zdziwieniem stwierdził, że sprawy wymykają mu się z rąk. Jedno tylko wiedział, że ów dziwny przybysz zachowuje się tak, jakby przywykł do wydawania poleceń.

- W porządku - powiedział z wyraźną ulgą - możecie go zbadać, z tym tylko, że nie tu, ale w pomieszczeniach załogowych. Sterownia musi pracować normalnie.

- Normalnie! - znów wtrącił się Kellman. - Normalnie i za wszelką cenę! - zawołał, a gdy spostrzegł, że wszyscy obecni patrzą na niego, oddalił się pośpiesznie.

Stevenson usiadł na miejscu Warnera przy konsolcie.

- Lester, zajmij się lekarzami. Ja teraz przejmę służbę. Zmienisz mnie, gdy będziesz mógł.

Lester z Harrym i Sarą wynieśli nieprzytomnego Warnera. Stevenson sprawdzał przyrządy, a Doktor krążył po sterowni, jakby czegoś szukał. Badał zadrapania na ścianach i na podłodze.

Kellman tymczasem siedział u siebie ze słuchawkami na uszach. Już dawno założył podsłuch w sterowni. Był ciekaw, co też ma do powiedzenia ów przybysz, który robił wrażenie wszytkowiedzącego. Każde słowo dowódcy i nieznanego było słyhać wyraźnie.

- Czy zauważył pan te dziwne zadrapania, kapitanie? - zapytał Doktor badając ślady. - Mam wrażenie, że widać je wszędzie, w całej stacji.

- Nie, nie zauważyłem. A to coś ważnego?

- Wszystko jest ważne na swój sposób - odparł Doktor z uśmiechem. Pochylił się nad pulpitem, przy którym siedział Stevenson, i jakby od niechcienia sprawdził urządzenia nagrywające, a następnie rząd kaset, natychmiast zauważając braki.

- No, no, no! - powiedział. - Jeśli chce pan wiedzieć, kapita-

nie, odkryłem już trzy rzeczy związane z tą rzekomą epidemią.

- Trzy? - Stevenson był wyraźnie zaskoczony.

- Właśnie. Ten pański wirus jest rzeczywiście niezwykły. Po pierwsze, potrafi zarysować metalowe ściany i podłogi. Po wtóre, atakuje zniemacka i tak błyskawicznie, że ofiara nie jest w stanie uruchomić alarmu. A po trzecie wreszcie, kradnie kasety z nagraniami meldunków. Przyzna pan, że to doprawdy niezwykajny wirus.

Stevenson z powątpiewaniem pokiwał głową.

- Jak pan to tłumaczy, Doktorze?

- Wspomniałem już, że pańska załoga stała się celem napaści, i to zupełnie innej aniżeli zaraza, wirus czy epidemia.

- A konkretnie?

Doktor wolał jeszcze nie odpowiadać. Zmienił więc temat.

- A ten dziwny cywil, kim on właściwie jest?

Stevenson opowiedział w skrócie o misji Kellmana, polegającej na zbadaniu nowej planetoidy, Vogii. Zaskoczyła go reakcja Doktora.

- Właśnie - krzyknął Doktor. - Voga! Naturalnie - uderzył się w czoło, jakby nagle wpadł na nowy pomysł - oczywiście, Voga, to wszystko wyjaśnia.

- Co wyjaśnia?

- Powiada pan, kapitanie, że ten - jak mu tam - Kellman był na planetoidzie?

- A i owszem. Prowadził tam kilkumiesięczne badania i zainstalował stację do transmateralizacji między planetoidą a Nervą.

- Voga - powtórzył Doktor - mityczna Voga, złota planeta!
Jest więc oczywiste, że oni muszą mieć z tym coś wspólnego.

- Oni?

Doktor spochmurniał i z całą powagą rzekł:

- Przykro mi, że muszę to oznajmić, kapitanie, ale mamy do czynienia z Cyborgami.

Stevenson niewiele wiedział o Cyborgach. Pamiętał tylko tyle, że kiedyś, przed wiekami, doszło do wojny... Gdy człowiek po raz pierwszy wyprawił się w kosmos, stanął w obliczu wielu nieprzyjaciół.

- Wydawało mi się - rzekł kapitan - że pokonaliśmy ich wieleset lat temu i że przestali istnieć.

- Zniknęli, ale nie przestali istnieć. Rzeczywiście, po bitwie o Vogę, pod koniec wielkiej wojny cybernetycznej, ich statki rozplynęły się w przestrzeni, co jednak nie znaczy, że zostali unicestwieni. Są bezlitośni, mają niezwykłą zdolność trwania i pałają żądzą zemsty. Nigdy nie skapitulują wobec rodzaju ludzkiego...

Kellman wyłączył podsłuch i przez dobrą chwilę siedział bez ruchu, obmyślając plan działania. Jedno było pewne - Doktor za dużo wiedział, a więc stanowił śmiertelne zagrożenie. W tej sytuacji trzeba będzie go wyeliminować i niezwłocznie przystąpić do realizacji głównego planu. Kellman otworzył tajny sejf i wyjął nadajnik o konstrukcji nie stosowanej przez ludzi. Podłączył kable do sieci energetycznej stacji i zaczął nadawać pilny meldunek.

Sygnal odebrano na pokładzie tajemniczego statku kosmicznego, który spoczywał ukryty w załomach jednego z księżyców Jowisza. Wyglądał groźnie, widać było, że zbudowano go wyłącznie z

myślą o skuteczności operacyjnej, nie dbając o sylwetkę, co naturalnie wskazywało na jego pochodzenie. Skuteczność to znak Cyborgów. Wielkie, srebrzyste postacie zgromadzone przy odbiorniku uważnie wsłuchiwały się w treść meldunku Kellmana, analizując jego konsekwencje. Zapanowała cisza. Wszyscy milczeli, czekając, co powie przywódca. Decyzja należała do niego, zaś reszta miała ją wykonać. Wódz uniósł rękę, dając znak do rozpoczęcia akcji. Uruchomiono silniki i kilka minut później podniszczona, ale ciągle jeszcze groźna i sprawna cyberrakieta uniosła się w przestrzeń, po czym wzięła kurs na stację namiarową Nerva.

Tymczasem w kabinie załogowej Nery Harry Sullivan zakończył badanie Warnera. Podniósł wzrok i spojrzał na Sarę.

- Nie rozumiem - powiedział. - Z jednej strony wygląda na to, że nastąpiły nieodwracalne zmiany, z drugiej zaś temperatura ciągle rośnie.

- Puls też - dodała Sara. - Jest już sto dwadzieścia! Tylko Lester niczemu się nie dziwił.

- Te same objawy co zawsze, doktorze. Jakby spalali się od wewnątrz. A i tak Warner trzyma się wyjątkowo długo.

- A kiedy w ogóle to się zaczęło? - spytała Sara.

- Jeśli dobrze pamiętam - zastanowił się Lester - to dziś chyba jest już siedemdziesiąty dziewiąty dzień.

- Nie przysłano nikogo na pomoc?

- Centrala na Ziemi zdecydowała, że trzeba nas objąć kwarentanną, izolować. Uznali widać, że lepiej będzie poświęcić załogę jednej stacji namiarowej, aniżeli ryzykować epidemię w całej galaktyce.

Warner zaczął się krztusić, a jego ciało ogarnęły gwałtowne konwulsje.

- To już koniec - westchnął Lester. - Tak to właśnie było z całą załogą.

Zjawili się zaalarmowani Doktor ze Stevensonem.

- Obawiam się, że już nic nie da się zrobić - rzekł ponuro Sullivan.

Doktor wyjął szkło powiększające i uważnie zbadał kark Warnera.

- Zwróciłeś uwagę na te ślady? - zapytał Harry'ego, wskazując na dwa ukłucia na karku chorego.

- Jakby ukąszenie żmii - ocenił Harry.

- Właśnie. Jestem pewien, że wstrzyknięto mu jakąś truciznę.

Ustały konwulsje i ciało Warnera zaczęło sztywnieć. Doktor westchnął, przykrył zmarłego prześcieradłem, a następnie, jakby przejęty nowym pomysłem, podszedł do drzwi.

- Gdzie pan idzie, Doktorze? - zawołał Harry.

- Na polowanie, Harry, na polowanie. Czas zasadzić się na szczura!

- Nie rozumiem - rzekł Stevenson absolutnie zaskoczony. - Nie wiem, o czym mówicie, ale jedno mogę wam powiedzieć: nie mamy szczurów na pokładzie, żmij zresztą też!

- Niech pan będzie spokojny, kapitanie - powiedziała Sara z całą powagą. - Jeśli Doktor mówi, że idzie zapolować na szczura, to na pewno go znajdzie.

Doktor nie miał konkretnych planów. Jakby bez celu krążył

głównym korytarzem. W pewnej chwili usłyszał metaliczny dźwięk. Instynktownie schował się we wnęce. Ujrzał Kellmana, który właśnie opuścił swój gabinet i ruszył w głąb korytarza, na szczęście w przeciwnym kierunku.

Doktor nigdy nie lekceważył okazji, jakie zsyłał los, i gdy tylko Kellman znikł mu z oczu, podbiegł do drzwi. Wystarczyło parę ruchów sonicznym śrubokrętem, by znaleźć się w środku, w gabinecie Kellmana.

Sprzętów było niewiele: tapczan, szafa, biurko, schowek na dokumenty, krzesło i nic więcej. Doktor przejrzał wszystko, ale nie znalazł nic interesującego, zaczął więc ostukiwać ściany i po chwili odkrył sejf, a w nim nadajnik. Obejrzał go dokładnie i schował na miejsce.

Zajął się szafką na ubrania. Nic ciekawego. Zwykły zestaw strojów i para starych butów. Wziął jeden, potem drugi, porównał ciężar w dłoni, odwrócił lewy but i ze środka wysunęła się spora, plastikowa torebka przewiązana kawałkiem sznurka.

Obejrzał ją pod światło, a następnie wziął szczyptę zawartości i sprawdził. Tylko jedna substancja w całym kosmosie miała takie cechy - była żółta, chłodna i jakby śliska.

- Złoto - mruknął do siebie - czyste złoto.

Rozległ się trzask zamka i ktoś nacisnął klamkę od zewnątrz. Instynktownie Doktor wsunął torebkę z metalem do kieszeni i...

Kellman zdziwił się, że zamek u drzwi stawia opór, ale udało mu się przekręcić klucz i wszedł do środka. Na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak, jak kilka minut temu, gdy wychodził z pokoju. Podszedł do biurka i wyciągnął z szuflady niewielkie metalowe puzderko. Położył je na blacie stołu i w tym momencie coś zwró-

ciło jego uwagę. Poślinił palec i przeciągnął po powierzchni biurka. Obejrzał pod światło. Tak, na palcu miał cieniutką warstwę złotego pyłu.

Starając się zachować spokój, rozejrzał się po gabinecie. Jeśli był tu jakiś nieproszony gość, to mógł się schować tylko w jednym jedynym miejscu - pod łóżkiem. Kellman pomyślał chwilę i uśmiechnął się do siebie. Znalazł sposób, żeby raz na zawsze pozbyć się intruza. Wstał z krzesła i podszedł do ściany, gdzie znajdowała się kontrolka urządzenia klimatyzacyjnego. Zdjął pokrywę, wyjął kilka bezpieczników, przełączył przewody ogrzewania w podłodze i wyszedł, zamykając drzwi na klucz.

Ukryty pod łóżkiem Doktor niewiele widział, tylko stopy Kellmana. Z ulgą przyjął trzask zamykanych drzwi. Postanowił jednak odczekać jeszcze chwilę, na wypadek gdyby właściciel gabinetu zechciał wrócić. Patrzył bezmyślnie na pokrytą plastikiem podłogę, gdy nagle zauważył, że z wykładziną dzieje się coś bardzo dziwnego. Zaczęła dymić, więcej nawet - zaczęła się węglić, a tu i ówdzie pojawiły się płomienie. Nie było chwili do stracenia. Doktor wyskoczył spod łóżka i stanął na nim. Cała podłoga zaczęła syczeć od gorąca, a plastikowa wykładzina topniała w oczach, zamieniając się w jezioro gotującego się plastiku, który przypominał płynną lawę w kraterze wulkanu. Owinął usta szalem i z wysiłkiem sięgnął po klamkę. Na podłodze, jak żółte kwiaty, zaczęły pokazywać się języki ognia.

Sara Jane Smith siedziała sama w kajucie załogowej. Harry z Lesterem zajęli się ciałem Warnera. Zanieśli zwłoki do kostnicy. Z wdzięcznością przyjęła propozycję Lestera, żeby się posilić, ale jadła bez apetytu, a zresztą jedzenie znajdujące się na tacy nie wyglądało zachęcająco. Patrzyła na kostki posiłku bez specjalnego entu-

zjazdu. Załoga była przyzwyczajona do takiego sposobu odżywiania, jej jednak marzył się zwykły befsztyk z frytkami.

Tym razem nie dostrzegła trójkątnej sylwetki cyberczura, który wynurzył się z zakratowanego otworu w podłodze i wlepił w nią swoje czerwone elektroniczne ślepia. Niepostrzeżenie przesunął się bliżej i gdy wreszcie go zobaczyła, było już za późno. Srebrzysta bestia wpiła się w jej gardło.

W gabinecie Kellmana uruchomił się wreszcie automatyczny system przeciwpożarowy, jednak jego skuteczność była na razie niewielka. Doktor, stojąc cały czas na łóżku, przesunął ciężkie, metalowe biurko w stronę drzwi. Wsparł się na nim jedną ręką, drugą zaś próbował sonicznym śrubokrętem otworzyć drzwi. Tracił siły. Duszący dym nie pozwalał oddychać, a płomienie buchające z podłogi sprawiały, że czuł się jak szaszłyk na rożnie. Zdawał sobie sprawę, że zaraz straci przytomność. W ostatniej chwili jednak zamek ustąpił. Doktor po biurku wyskoczył na korytarz. Z oszołomienia wyrwał go przerażający krzyk Sary. Z trudem łapiąc oddech, ruszył na pomoc.

Przerażona dziewczyna krzyczała z całych sił. Cyberczur wpił się w jej szyję, a na karku poczuła piekące ukłucie. Resztką sił ode-rwała bestię od siebie. Metalowy stwór łupnął o ścianę, gdy Doktor stanął w drzwiach. Cyberczur potoczył elektronicznymi oczami, żeby ustalić punkty orientacyjne. Dostrzegł nową ofiarę i wlepił ślepia w Doktora, gotując się do skoku...

4 Wyprawa na Vogę

Doktor wykonał unik i cyberczur z trzaskiem uderzył w ścianę na wysokości głowy swojej niedoszłej ofiary. Osunął się na podłogę i znów próbował znaleźć punkty orientacyjne, by wykonać nowy skok.

Doktor sięgnął do kieszeni i gdy bestia miała zaatakować, wyjął torebkę pełną złotego piasku, którą zabrał z gabinetu Kellmana, po czym wysypał zawartość na cyberczura. Nikt, kto nie widział tego na własne oczy, nie uwierzyłby w to, co się stało. Metalowy stwór zaczął się kręcić w kółko w obłoku złotego pyłu. Wreszcie znieruchomiał, a połyskujące ślepia straciły blask. Był to kres cyberczura.

Dopiero teraz Doktor mógł pośpieszyć na pomoc Sarze. Widział pajęczynę czarnych linii rozciągającą się od szyi do skroni dziewczyny. Sara wyraźnie traciła siły, zataczała się, rękami ścisnęła gardło i coś starała się powiedzieć, ale już nie była w stanie. Upadłaby bezwładnie na podłogę, gdyby nie Doktor. Układał ją na łóżku, gdy nadbiegli Harry, Lester i kapitan, których też zaalarmował krzyk Sary.

- Co się stało? - zawołał przerażony Harry.

- Za późno - wtrącił Lester, nie czekając na wyjaśnienia Doktora. - Zaraziła się.

- To nie zaraza - rzekł Doktor. - Spójrzcie tylko. - Kopnął unieruchomionego cyberczura, który pod działaniem złotego pyłu zamienił się w kupę złomu. - Zaprogramowano go w taki sposób, aby wstrzykiwał truciznę w żyły.

4

- Czy z jego strony grozi nam jeszcze jakieś niebezpieczeństwo? - zapytał Stevenson, z obrzydzeniem oglądając resztki stalowej bestii.

- Ten już nie jest groźny, ale nie wątpię, że w stacji kryje się jeszcze wiele

tych stworów.

Harry starał się ulżyć cierpieniom Sary. Miał jednak świadomość, że jeszcze kilka minut temu, na tej samej koi spoczywał biedny Warner, któremu nie potrafili pomóc.

- Doktorze - musi być jakiś sposób... - powiedział błagalnym tonem.

Doktor wpatrywał się w Sarę zatopiony we własnych myślach i miało się wrażenie, że wręcz słysząc, jak rozważa rozmaite możliwości ratunku.

- Mam - strzelił palcami, jakby podkreślając, że istotnie jest szansa. - Urządzenie do transmateralizacji w sterowni!

Harry zrobił wielkie oczy. Podczas wędrówek z Doktorem oswoił się z najnowocześniejszą techniką i wiedział, o co chodzi. Transmaterializacja - triumf ludzkiej myśli - polegała na tym, że za pomocą odpowiedniego urządzenia ludzki organizm dzielił się na poszczególne atomy i w formie wiązki fal elektromagnetycznych całość była emitowana do stosownego odbiornika, gdzie następował odwrotny proces, czyli odtwarzanie organizmu z zespołu pojedynczych atomów. W taki oto sposób można było przemieszczać, czyli translokować, ludzi w czasie i przestrzeni, podobnie jak za pomocą linii telefonicznych przekazuje się głos. Jednego tylko Harry nie potrafił pojąć, mianowicie jak transmateralizacja ma pomóc Sarze.

- To proste - wyjaśnił Doktor. - Otóż podziałowi na atomy, a następnie na wiązki fal, podlegają tylko molekuly ludzkiego organizmu. Trucizna, jako substancja obca, zostanie oddzielona od reszty,

więc w ten sposób w punkcie docelowym Sara zmaterializuje się oczyszczona z toksycznych ciał. Nie ma chwili do stracenia. Idziemy!

Wspólnie dźwignęli dziewczynę i skierowali się do sterowni. Kapitan z Lesterem udali się za nimi. W kilka chwil później

Harry i Sara znaleźli się w kabynie przekaźnikowej transmateriałizatora - niewielkim przezroczystym prostopadłościem. Doktor zajął miejsce przy pulpicie sterowniczym.

- Wiesz, co do ciebie należy, Harry? - upewnił się Doktor. - Jak tylko zjawicie się na miejscu, w kabynie odbiorczej, musisz natychmiast dokonać ponownej transmateriałizacji. Nie wiadomo, jaka jest sytuacja na planetoidzie, gdzie Kellman zainstalował stację odbiorczą, więc lepiej niczego nie ryzykować i wracać tak szybko, jak tylko się da.

- Ma pan rację, Doktorze. Wracamy natychmiast. - Harry objął Sarę, czekając na rozpoczęcie transmateriałizacji. Doktor uruchomił przyciski. Urządzenie jednak nie reagowało. Ponowił próbę. Znowu nic. Pośpiesznie zerwał osłony z konsoly kontrolnej i zajął do środka, w kłębowisko kabli i procesorów.

- Awaria? - zapytał Harry.

- Sabotaż - odparł Doktor. - Ktoś usunął źródło zasilania, to jest cewkę pentalionową.

- Sabotaż? - kapitan nie dawał wiary. - A któż mógł to zrobić?

- Ta sama osoba, która skradła zarejestrowane kasety z radiostacji - odparł z wściekłością Doktor. - Ten sam osobnik, który zaprogramował cyberczury i ten sam, który chce uniemożliwić

łączność z Vogą.

Stevenson doskonale wiedział, kogo Doktor ma na myśli.

- Kellman?

- A któż by inny! Pański uprzejmy egzograf jest na żołądźce Cyborgów.

To wystarczyło Lesterowi. Zacisnął pięści i zerwał się z miejsca.

- Chodźmy, kapitanie, trzeba się z nim wreszcie rozprawić. - Wybiegli ze sterowni, repetując miotacze.

Kellman odłożył aparat podsłuchowy i zaczął szykować się do ucieczki. Wyjął z biurka metalowe puzderko. Otworzył, żeby się upewnić, czy w dalszym ciągu kluczowy element jest w jego posiadaniu. Leżała tam cewka pentalionowa. Schował pudełko za pazuchę. Do drugiej kieszeni wcisnął minimiotacz i spieszenie opuścił spalony gabinet.

Doktor nie dołączył do kapitana i Lestera. Uważnie badał wnętrze pulpitu sterowniczego. Wymontował niewielki procesor z jednego z obwodów drugiego stopnia i zaczął przełączać kable.

- Może się uda - mruknął pod nosem - jeśli tylko da się skonwertorować trzy fazy...

- Doktorze, nie ma chwili do stracenia. Sara goni już resztką sił - ponaglał Harry. Dziewczyna leżała bezwładnie. Pajęczyna czarnych linii pokryła niemal całą jej twarz. Ciało było rozpalone jak piec.

- Jeszcze moment, zachowaj spokój - prosił Doktor. Wyjął z kieszeni zegarmistrzowską lupę, nałożył na oko i precyzyjnymi ruchami zaczął przełączać cienkie jak włos kable.

Lester z kapitanem miotaczami wyłamali drzwi do gabinetu Kellmana. W środku było pusto, ani śladu egzografa.

- Drań wymknął się - mruknął z wściekłością Lester.

- I to w pośpiechu - dodał Stevenson, omiatając wzrokiem zadymiony pokój. - Trzeba go koniecznie znaleźć. Ja zajmę się głównym korytarzem, a ty sprawdź okoliczne sekcje. - Ruszyli w drogę z miotaczami gotowymi do strzału.

Doktor tymczasem kończył rekonstrukcję zasilania urządzenia do transmateralizacji. Nie miał pewności, czy zaimprovizowany obwód energetyczny wystarczy, żeby urządzenie zadziało.

- Musimy zaryzykować - krzyknął do Harry'ego. Nie mając już czasu na dokończenie dzieła, Doktor jedną ręką przytrzymał kable, drugą uruchomił przyciski na konsolecie. Maszyna włączyła się z szumem, w kabinie przekaźnikowej zabłysło światło i Harry z Sarą zniknęli z pola widzenia. Doktor uśmiechnął się z zadowoleniem. Ale satysfakcja z udanego eksperymentu była chwilowa. Konsoleta zaczęła iskrzyć. Doktor wyrwał obolałą rękę z wiązki nie izolowanych przewodów. Zaimprovizowana przeróbka wystarczyła, aby przenieść Sarę i Harry'ego na Vogę. Jak ich sprowadzić z powrotem? Tego Doktor nie wiedział.

Kapitan Stevenson patrolował główny korytarz. Ostrożnie posuwał się naprzód, uważnie nasłuchując. Nagle usłyszał podejrzany dźwięk. Przywarł do ściany, a gdy kroki zaczęły się zbliżać, wyskoczył z miotaczem gotowym do strzału. Stał oko w oko z Kellmanem. Ale ten także był uzbrojony i mierzył prosto w kapitana.

- Niech pan strzela - zaśmiał się ironicznie Kellman - z tej od-

ległości żaden z nas nie może chybić.

- Rzuć broń, Kellman - warknął Stevenson zaskoczony sytuacją. - Nie masz innego wyjścia.

Kellman nie opuścił miotacza. Przysunął się tylko do ściany i nie spuszczać oka z kapitana, wyszukał dłonią klamkę.

- Proponuję takie wyjście - rzekł. - Zamknę się w tej kabinie. Może pan ustawić straż przed drzwiami, jeśli pan chce. Ale nie radzę panu wchodzić. A zresztą wkrótce będzie pan miał większe zmartwienia niż moja skromna osoba.

Kellman uchylił drzwi i już miał zniknąć we wnętrzu kabiny, gdy nadbiegł Lester. Wystarczył moment nieuwagi, gdy Kellman instynktownie zwrócił wzrok w stronę przybysza, aby kapitan chwycił go mocno za przegub i wytrącił mu broń z ręki. W kilka chwil później obaj z Lesterem wprowadzili więźnia do sterowni.

Harry nerwowo uruchamiał przyciski urządzenia odbiorczego transmateriałizatora w podziemiach planetoidy. Bez skutku. Mechanizm nie działał i droga powrotna na Nerve była odcięta. Transmateriałizacja rzeczywiście uzdrowiła Sarę, tak jak przewidywał Doktor. Obserwowała wysiłki Harry'ego, nie rozumiejąc, co się dzieje. Pamiętała „ukąszenie” cyberczura, ale nic więcej. Nie umiała sobie wytłumaczyć, jak to się stało, że nagle znalazła się z Harrym w urządzeniu do transmateriałizacji, w mrocznym tunelu, który przypominał sztolnię lub wyrobisko w kopalni. Pajęczyna czarnych linii znikła z jej twarzy, nie gorączkowała i czuła się całkiem normalnie, a przynajmniej na tyle normalnie, żeby zacząć się niecierpliwie bezskutecznymi manewrami Harry'ego.

- Na litość boską, Harry, jak długo jeszcze mamy tu sterczeć?
- Aż ta cała maszyna da się uruchomić. Rozkaz Doktora był wyraźny i nie ruszymy się stąd nawet na krok.

- Nie byłabym taka pewna - powiedziała Sara, a w jej głosie było coś takiego, że Harry przestał mocować się z przełącznikiem i podniósł wzrok. Przeszły go ciarki, gdy zobaczył dwie pary wyłupiastych oczu, wydatne czoła, wysoko sklezione czaszki, szare wojskowe uniformy, a nade wszystko dwa miotacze gotowe do strzału. Z ciężkim westchnieniem podniósł ręce do góry.

Kellman milczał. Patrzył na trójkę swoich prześladowców i nic nie mówił. Siedzieli w sterowni Nervy.

- Oto i Voga, kapitanie - rzekł Doktor pokazując planetoideę na ekranie monitora. - A ściślej, oto, co z niej zostało. A skoro jest Voga, to znaczy, że gdzieś w pobliżu kryją się Cyborgowie.

- Jeśli dobrze pana rozumiem - Lester z namysłem podrapał się po głowie - to Cyborgowie ruszyli w ślad za tym kawałkiem kosmicznej skały i dotarli aż do naszej galaktyki. A motyw, Doktorze? Dlaczego mieliby tak zrobić?

- Aby unicestwić tę planetoideę. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że ten oto odłamek skały, to jest wszystko, co pozostało z głośnej kiedyś Vogy, złotej planety. Cyborgowie zniszczyli ją, nim sami ponieśli klęskę w wielkiej wojnie cybernetycznej, i nie spoczną, dopóki nie doprowadzą dzieła zagłady do końca.

- A to dlaczego? - zapytał Stevenson.

- Ponieważ nienawidzą i boją się złota - rzekł Doktor po-

ważnym tonem. - Złoto to dla nich największa groźba. Jak wiecie, metal ten nie ulega korozji i na tym polega cała tajemnica. Złoty pył osadza się na ich respiratorach, blokuje system oddechowy, dusi. Mam rację, profesorze?

Kellman nic nie powiedział. Patrzył prosto przed siebie i drwiąco się uśmiechał. Doktor wstał z miejsca i pochylił się nad więźniem.

- Dzięki panu, panie Kellman, dwójka moich przyjaciół, Harry i Sara, znalazła się na Vodze. Nie uda mi się ich sprowadzić bez cewki pentalionowej. Pytam więc, co pan z nią zrobił?

Kellman uparcie milczał.

- Sprawdziliście jego kabinę po aresztowaniu? - upewnił się Doktor, patrząc na Lestera.

- Tak jest. To wszystko, co znaleźliśmy - Lester wskazał na nadajnik i „pluskwę” na konsolecie.

- To już widziałem - rzekł Doktor. - Aparat do łączności z mocodawcami i podsłuch, aby szpiegować kolegów. Kellman! Jeszcze raz pytam, gdzie jest pentalion?

Kellman wreszcie raczył się odezwać, ale jego odpowiedź niczego nie wyjaśniała.

- Żałuję, ale nie wiem, o czym mówicie.

- Kłamie pan w żywe oczy. Nie rozumiem tylko, dlaczego.

Doktor raz jeszcze zaczął sprawdzać rzeczy zabrane z gabinetu Kellmana. Wziął do ręki niewielkie pudełko, które do tej pory leżało nie zauważone, i dokładnie je obejrzał. Jedna ścianka była cała pokryta przełącznikami i przyciskami.

- Niech pan to zostawi - Kellman był wyraźnie zaniepokojony.

ny. - To jeden z moich instrumentów pomiarowych do badań egzograficznych. Niech pan tego nie dotyka.

Doktor zlekceważył protesty Kellmana i jak gdyby nigdy nic zajął się tajemniczym przyrządem.

- Nasz uczony przyjaciel oczywiście kłamie - rzeki zwracając się do Lestera i Stevensona. - Czyni tak, żeby zyskać na czasie. Nie wiem tylko, na co czeka.

Kellman obrzucił go nienawistnym spojrzeniem, ale nic nie powiedział. Nie odrywał oczu od pudełka w ręku Doktora.

Na mostku rakiety cybernetycznej wódz Cyborgów odebrał raport dyżurnego technika, który zameldował o wiaźce energii między Nervą a Vogą. Tę tak ważną informację dyżurny mechanik przekazał obojętnym, mechanicznym tonem. Cyborgowie nie są w stanie przeżywać żadnych emocji.

- A więc ludzie dokonali transmateralizacji.
- Wniosek jest logiczny, wodzu.
- Ale tego nie było w planach. Za ile minut dobijamy?
- Szesnaście.

Srebrzysty olbrzym wstał z miejsca.

- Pluton operacyjny ma przygotować się do przejścia na stację. Akcję poprowadzę osobiście.

Vorus siedział zamyślony za biurkiem w bogato zdobionej sali posiedzeń, położonej głęboko pod powierzchnią Vogu. Po chwili wielkie złote drzwi rozsunęły się i na progu stanął Magrik. Złożył

ceremonialny ukłon.

- **Wzywałeś mnie, Vorusie?**

- **Cyborgowie są w drodze - rzekł Vorus bez żadnych wstępów.**

Wiadomość zbulwersowała Magrika.

- **Ależ to za wcześnie - zawołał nerwowo. - Jeszcze nie jesteśmy gotowi.**

- **Agent nadał tę wiadomość jakiś czas temu, a teraz milczy. Nie możemy dłużej czekać. Jak oceniam, masz mniej więcej cztery godziny na ostateczne zmontowanie Pioruna.**

- **To za mało, Vorusie!**

- **Cztery godziny i ani minuty dłużej. W przeciwnym wypadku nasze marzenia spełzną na niczym!**

- **Piorun jest już prawie gotowy - Magrik próbował wytłumaczyć sytuację - ale pozostaje kwestia ładunku wybuchowego. Nie przeprowadziliśmy prób z bombą. W ciągu czterech godzin może uda się nam umieścić ją na pokładzie, ale o próbach już nie ma mowy...**

Vorus wstał zza biurka. Jego potężna postać niemal przytłaczała drobnego inżyniera.

- **Ładunek trzeba zaraz montować, a próba, no cóż, wypróbujemy na Nervie. Czy to jasne?**

Magrik westchnął ciężko.

- **Będzie tak, jak sobie życzysz, Vorusie. Zaraz postawię całą ekipę na nogi. Zaczynamy natychmiast.**

Gdy Magrik szykował się do wyjścia, Vorus zawołał jeszcze, aby polecił strażom przyprowadzić dwoje ludzi, których chwycono

w tunelu.

Doprowadzono Sarę i Harry'ego. Vorus udał, że nie dostrzega ich obecności, ale kątem oka z uwagą obserwował przybyszy, którzy ciekawie rozglądali się po bogato zdobionej sali. Większość ornamentów i ozdób, właściwie cały wystrój wielkiej komnaty, a także ogromne drzwi, przez które ich wprowadzono, były wykonane z czystego złota. Skierowali wzrok na człekokształtną istotę, siedzącą przy biurku. Rysami nie różniła się od dwóch potężnych wartowników, którzy ich przywieźli. Miała również wydatne czoło, wysoko sklepioną czaszkę i wyłupiaste, błyszczące oczy. Lecz jej bogato zdobiony złotem strój znamionował wysoką rangę. Domyślili się, że mają do czynienia z przywódcą tej niezwyklej podziemnej społeczności. Sara zaczęła się niecierpliwić.

- Niech już coś powie - szepnęła do Harry'ego. - I w ogóle niech się coś dzieje. Doktor pewnie bardzo się o nas niepokoi.

- Ja też - rzekł Harry. - Gdzie my jesteśmy, co to za miejsce?

- Jedno jest pewne - znów szepnęła Sara - planetoida nie jest nie zamieszкана.

Vorus uznał, że nieznajomi za dużo sobie pozwalają.

- Podprowadźcie więźniów bliżej - rozkazał wartownikom, którzy natychmiast popchnęli jeńców do przodu.

- A więc przybywacie ze stacji? - zapytał Vorus chłodnym tonem. Było to i pytanie, i stwierdzenie faktu. - Dlaczego zjawiliście się na Vodze? Czyżbyście szukali ratunku przed epidemią?

- Tak właśnie - podchwyciła Sara - uciekliśmy przed zarazą.

- To kłamstwo - przerwał jej Vorus, podnosząc się z miejsca.

- Przybyliście, aby zrabować nasze złoto.

- Nie kłamie - powiedziała Sara z całym przekonaniem. - Było tak, że zostałam zarażona i...

- Nieprawda! Gdybyś zapadła na tę chorobę, to nie mogłabyś przeżyć. Na tym polegał nasz plan.

Vorus był wściekły i z gniewu nie panował nad słowami. Harry zwrócił uwagę na ostatnie zdanie.

- Plan? A więc to wy zorganizowaliście tę rzeź - był równie wzburzony jak jego rozmówca.

Sara próbowała załagodzić sytuację.

- Zjawiliśmy się na Nervie już po wybuchu epidemii - zaczęła wyjaśniać. - Ale później ja też zostałam ukąszona i Doktor postanowił dokonać mojej transmateralizacji, licząc że w ten sposób wyzdrowieję...

- Tak właśnie było - wtrącił Harry - a ja jej towarzyszyłem. Gdyby wszystko poszło tak jak trzeba, to z miejsca wrócilibyśmy na stację. Nie mieliśmy i nie mamy zamiaru zabierać wam waszego przeklętego złota.

Vorus opuścił swoje miejsce za biurkiem i stanął przed dwójką jeńców. Patrzył na nich z wysoka, jak wielki kot na myszy.

- Dlaczego tu przybyliście? - pytał chrapliwym głosem. - Ilu jeszcze ludzi przebywa na stacji namiarowej? Jakie mają plany? Co wiedzą o nas, mieszkańcach Vogy?

Harry z Sarą spojrzeli po sobie w milczeniu. Nie mieli najmniejszego zamiaru zdradzać tajemnic Nery przed tą dziwną istotą, zwłaszcza że - jak się domyślali - ponosiła ona odpowiedzialność za rzekomą epidemię.

Ich milczenie doprowadziło Vorusa do wściekłości. Gniewnie błysnął oczami.

- Kiedy Vorus, wódz strażników kosmosu, pyta, każdy ma obowiązek odpowiedzieć - rzekł podniesionym, pełnym godności tonem. Harry i Sara nadal nic nie mówili. Vorus dał znak wartownikom, którzy boleśnie wykręcili więźniom ręce.

- Albo odpowiecie, albo czeka was cierpienie - ostrzegł i znów dał znak wartownikom. Sara i Harry jęknęli z bólu.

- A więc, nędzni Ziemianie - wykrzywił się Vorus w okrutnym uśmiechu - czy jesteście gotowi mówić?

5 Bunt

Ból był nie do zniesienia. Sara miała wrażenie, że jeszcze chwila, a oprawcy wyłamią jej ręce ze stawów. Zaciśnięła zęby, żeby nie krzyczeć. Kątem oka widziała, że Harry się szamocze, usiłując wyrwać się z łap prześladowców. Dalsze cierpienia przerwał dźwięk dzwonka. Vorus i strażnicy zamarli. Było oczywiste, że dzwonek oznacza coś niezmiernie ważnego. Sygnał powtórzył się. Vorus dał znak wartownikom.

- Odprowadzić więźniów. Zajmę się nimi później.

Nie szczędząc szturchańców, strażnicy wyprowadzili Sarę i Harry'ego z sali.

Vorus poczekał, aż zasuną się złote wrota, i nacisnął przycisk na biurku. Odsunęła się kotara, odsłaniając wielki ekran na ścianie, a na nim obraz gabinetu, skromniejszego może niż sala posiedzeń i nader spartańsko urządzonego. Za prostym stołem siedział szczupły i niewielkiego wzrostu Vożanin, odziany w zwykłą ciemną szatę. Podniósł wzrok i pozdrowił Vorusa.

- Są pewne sprawy nie cierpiące zwłoki, Vorusie. Muszę z tobą porozmawiać.

- Naturalnie, Tyrumie. Jestem do twojej dyspozycji odparł Vorus z szacunkiem. Tyrum sprawował godność wielkiego radcy.

- To nie są sprawy na telekonferencję - rzekł. - Oczekuję cię u siebie. Natychmiast.

- Nie informowano mnie, że są jakieś pilne sprawy...

- Bo nie było takiej potrzeby - rzekł Tyrum chłodnym tonem

5
- niemniej jednak proszę, byś zechciał natychmiast przybyć. Poleci-
łem już, aby podstawiono ci najszybszy poduszkowiec, jaki mamy
do dyspozycji.

Chwilę później Tyrum nacisnął przycisk i ekran zgasł. Vorus
był wyraźnie

zirytowany. Setki razy obiecywał sobie, że nie da się wyprowadzić z równowagi przez tego złośliwca, a jednak nic nie pomagało. Tyrum zawsze potrafił postawić na swoim. Także i teraz, gdy tyle naprawdę pilnych spraw czekało na rozstrzygnięcie. Ale Vorus nie śmiał odmówić zaproszeniu. Właściwie nie było to zaproszenie, lecz rozkaz. Przy całej swojej łagodności i uprzejmych manierach Tyrum miał żelazną wolę. Jako prezydent Wysokiej Rady sprawował najwyższą władzę na planetoidzie. Vorus musiał mu się podporządkować. Przesłuchanie dwojga Ziemiaków trzeba będzie odłożyć na później.

Harry'ego i Sarę zaprowadzono do pieczary tuż obok głównego tunelu. Było tam mroczno i wilgotno, a nad głowami wisały im liczne stalaktyty. Strażnicy przykuli ich łańcuchami do skały i wyszli bez słowa. Sara oparła się o ścianę, starając się znaleźć w miarę wygodną pozycję. Harry rozglądał się z ciekawością po nowym otoczeniu.

- Popatrz tylko, Saro. To ruda w najlepszym gatunku. Krótko mówiąc, zamknięto nas w kopami złota.

- Wspaniale. Jeśli nas stąd nie wypuszczą, będziemy przynajmniej mieli świadomość, że umieramy pośród wielkiego bogactwa.

Harry potrząsnął kajdanami.

- Łańcuch też jest złoty! Wygląda na to, że nie znają innego metalu.

- Harry, przestań gadać. Nie mogę już słuchać o tym złocie.

- Dwadzieścia cztery karaty, popatrz tylko.

- Dajże spokój. Jak sobie pomyślę, że wplątaliśmy się w to

wszystko właśnie przez złoto, to wściekłość mnie ogarnia. Co nam do złota? Jaki możemy mieć z niego pożytek?

- A jednak... - tajemniczo powiedział Harry.

- Co masz na myśli?

- A to, że złoto jest stosunkowo miękkim metalem i że wystarczy znaleźć

solidniejszy kamień, żeby rozkuć kajdany.

- Chyba masz rację - ucieszyła się Sara - a przynajmniej warto spróbować. I tak nie mamy nic lepszego do roboty.

Rozpoczęli poszukiwania wokół siebie, tak daleko, jak pozwalały łańcuchy. Nie było to łatwe, ponieważ złote okowy wbijały się w ciało. Jednak po chwili Harry'emu udało się wyłamać kawałek skały wielkości sporej pomarańczy. Z całej siły zaczął uderzać zaimprowizowanym młotkiem w łańcuch przykuwający Sarę.

- Uwważaj! - krzyknęła, gdy trafił ją boleśnie w kostkę.

- Przepraszam, ale musisz trochę pocierpieć. Przerwał na chwilę. - Hej! - zawołał - chyba się uda. Popatrz - całkiem rozpląsałem to ogniwo.

- I mnie przy okazji! - zaprotestowała. - Mógłbyś trochę bardziej uważać.

- Nie gadaj - odparł nie przerywając operacji. Uderzył kamieniem jeszcze parę razy. - No - zachęcił Sarę spróbujemy teraz zsunąć tę obręcz.

Zdjął jej pantofel z nogi i szarpnął za łańcuch. Za syczała z bólu.

- Mocniej - krzyknął - pociągnij w drugą stronę.

- Boli!
- Nic ci nie będzie. Ciągniemy.

Tym razem udało się im oswobodzić nogę z kajdan.

- W porządku, a teraz druga noga - powiedział Harry. Poszło łatwiej i wkrótce Sara była wolna. Wyprostowała się, przeciągnęła i przez chwilę masowała obolałe kostki.

- Hej, nie stój tak, pomóż teraz mnie - ponaglił ją Harry.

- Sekunda - odparła rozglądając się uważnie. Mam lepszy pomysł. - Pobiegła w głąb pieczary i przyniosła ostry odłamek skalny. - Widzisz - powiedziała - w ten sposób mamy i młotek, i przecinak. Będzie szybciej.

Istotnie, w parę minut Harry był wolny, choć trochę poobijany.

- Do końca życia będę utykał - mrucał.

- Tak samo jak ja. A w ogóle to nie narzekaj, ale... ss! Oboje usłyszeli szum. Dziwny dźwięk zaczął się zbliżać.

Potężniał.

- Nie ma co czekać, trzeba się ukryć - szepnął Harry, chwytając Sarę za rękę.

Wybiegli z jaskini i pognali podziemnym chodnikiem.

Zniknęli za zakrętem, gdy przed pieczarą zatrzymał się poduszkowiec ze strażą. Kilku uzbrojonych drabów weszło do środka, najwidoczniej po więźniów. Zobaczyli rozbite łańcuchy. Podnieśli alarm i cała drużyna ruszyła na poszukiwanie zbiegów.

Kapitan Stevenson bezskutecznie próbował zmusić Kellmana do zeznań. Więzień uparcie milczał. Siedział na krześle ze wzrokiem wbitym w przestrzeń udając, że nie słyszy pytań. Czasami tylko rzucał jakąś drwiącą uwagę. Doktor przysłuchiwał się tej bezowocnej wymianie zdań, ale nie ingerował. Lester zaczął tracić cierpliwość. Gdyby nie kapitan, to wzięłby Kellmana w obroty i w parę minut wycisnąłby z niego, co trzeba.

Stevenson też wreszcie stracił cierpliwość. Wyjął broń i wymierzył w głowę Kellmana.

- Na stacji obowiązuje stan gotowości bojowej - oznajmił. - W tych warunkach, jak pan wie, stosuje się prawa wojenne, co oznacza, że jako dowódca tej jednostki mam prawo ferować wyroki z natychmiastową wykonalnością.

Kellman nadal patrzył w przestrzeń i milczał.

- Zamordował pan czterdziestu siedmiu członków mojej załogi. Naraził pan na niebezpieczeństwo całą stację...

- Głupstwa pan opowiada, kapitanie - obcesowo przerwał Kellman.

Stevenson przyłożył lufę miotacza do jego skroni.

- A więc, Kellman, decyzja należy do ciebie: albo powiesz, gdzie ukryłeś pentalion, albo...

- Nie zdoła mnie pan przestraszyć, kapitanie rzekł Kellman ziewając demonstracyjnie. - Nie jest pan w stanie pociągnąć za spust...

- Uprzedzam, że zgodnie z prawem mogę natychmiast dokończyć egzekucję...

- Owszem, ma pan prawo. Ale nie zrobi pan tego Kellman

był najzupełniej spokojny o swój los. Poznał kapitana na tyle, żeby wiedzieć, iż nie jest on człowiekiem, który potrafiłby przelać krew bez walki i z zimną krwią zadać komuś śmierć. Czuł się więc bezpiecznie wiedząc, że właściwie nic mu nie grozi. Stevenson był dzielnym żołnierzem, ale nie katem.

Kapitan też miał tego świadomość. Westchnął i opuścił broń, ale nie ustępował.

- A więc - powiedział wskazując na małe pudełko z szeregiem przełączników - Doktor jest zdania, że to urządzenie służy do programowania cyberczurów.

Kellman jakby się zaniepokoił.

- Bzdura - powiedział nerwowo - to instrument do pomiarów planetarnych. Każdy egzograf korzysta z czegoś takiego.

- Znowu pan kłamie, profesorze - odezwał się Doktor cichym głosem.

- Niech pan to udowodni - warknął Kellman.

- Jak pan chce. Właśnie rozpracowałem tę zabawkę.

Doktor nacisnął parę przycisków i w pudełku u coś zaszumiło. Kellman otworzył oczy ze zdumienia, ale się nie odezwał. Przez chwilę nic się nie działo, lecz nagle Lestor aż podskoczył i złapał za miotacz. Z otworu w podłodze wynurzył się cyberczur. Bestia zatrzymała się na środku i potoczyła dokoła elektronicznymi ślepiami. Teraz także Stevenson wziął broń do ręki. Doktor dał mu znak, że wszystko jest w porządku. Kapitan opuścił miotacz. Cyberczur nie zwracał żadnej uwagi ani na niego, ani na Doktora. Wbił wzrok w Kellmana i zaczął sunąć w jego stronę. Przerażony Kellman wcisnął się w krzesło i chrapliwym głosem krzyknął:

- Na litość boską, zróbcie coś. Trzeba go zatrzymać! Nikt nie zareagował. Doktor, Lester i Stevenson patrzyli w milczeniu, jak bestia zbliża się do Kellmana i zatrzymuje tuż przy jego krześle.

- Oczywiście - przerwał milczenie Doktor - nie wykluczam, że zechce pan powiedzieć, gdzie jest pentalion, dopiero po wszystkim, gdy cyberczur zada panu truciznę. Moim zdaniem, postąpiłby pan jednak bardzo nierozsądnie. Przecież po ukąszeniu zostanie panu już niewiele czasu, tyle co tym wszystkim, na których sprowadził pan straszną śmierć. - Doktor powiedział to spokojnym, wyważonym tonem doświadczonego wykładowcy uniwersyteckiego.

Cyberczur już się szykował do zadania ciosu, gdy Kellman wreszcie się załamał.

- Postawiliście na swoim! Powiem wam! Oto wasz pentalion!
- i nerwowym ruchem zerwał z szyi srebrny łańcuszek, na którym wisało metalowe puzderko ukryte pod koszulą. Nacisnął sprężynę i oczom obecnych ukazał się pentalion w całej swojej okazałości.

Doktor uruchomił odpowiednie przyciski na programatorze. Cyberczur spokorniał, zawrócił w miejscu i znieruchomiał, a jego elektroniczne oczy przestały pobłyskiwać czerwienią. Doktor kopnął bestię, aż poleciała daleko w kąt, a następnie odebrał Kellmanowi pentalion.

- I po co te nerwy? - mruknął ironicznie. - Ale - dodał, z uwagą badając cenne urządzenie - wszystko dobre, co się dobrze kończy, a teraz już będziemy mogli sprowadzić Sarę i Harry'ego z powrotem na stację. - Nie zwlekając zajął się naprawą transmateriałizatora.

- Podziwiam, że zdołał pan rozpracować programowanie cy-

berczura - rzekł Lester z uznaniem. - Ale czy miał pan pewność, że bestia zaatakuje tylko

Kellmana?

- To rzeczywiście nie było łatwe. Trzeba było dostroić urządzenie do zakresu jego fal mózgowych. Teraz czeka nas jeszcze trudniejsze zadanie - rzekł Doktor, badając uważnie transmateriaлизator. - Wystarczy niewielka pomyłka, doć na przykład zainstalować pentalion przeciwnymi biegunami, a cała stacja rozsypie się w proch.

Lester aż zaniemówił z wrażenia.

- A więc - powiedział po chwili - nie będę panu przeszkadzał.

Vorus nawet nie próbował ukryć irytacji, stojąc przed biurkiem wielkiego radcy, Tyruma, w jego gabinecie. Musiał czekać dobrą chwilę, nim został przyjęty, i to jeszcze bardziej go rozwścieczyło.

- Wzywałś mnie w sprawach nie cierpiących zwłoki, Tyrumie? - powiedział z wyraźną pretensją w głosie.

Tyrum spojrział na niego, jakby widział go po raz pierwszy.

- A właśnie, właśnie - rzekł - mam tu meldunek, że na naszej planetoidzie widziano dwie obce istoty, dwoje ludzi.

Vorus nic nie odpowiedział. W myślach gorączkowo analizował sytuację. Jeśli przyzna, że dwójka ludzi została uwięziona z jego rozkazu, to Tyrum może zechcieć przesłuchać ich osobiście, co groziło ujawnieniem wydarzeń na Nervie, a w konsekwencji pracowicie przygotowany plan mógłby spełznąć na niczym. Wolał więc

milczeć.

- Zgodnie z wiekową tradycją - ciągnął Tyrum z całą powagą - twoi ludzie sprawują pieczę nad przejściami wiodącymi na powierzchnię planetoidy i nad górnymi chodnikami naszej siedziby. Logicznie rozumując, jeśli na Vodze ląduje ktoś obcy, to fakt taki musi być przez ciebie zauważony. Idąc dalej, można założyć, że jeśli ktoś się zjawia, to za twoim przyzwoleniem.

Vorus uznał, że najlepszą obroną będzie atak.

- Nie masz żadnych dowodów na poparcie tych zarzutów - wybuchnął.

- A jednak - odparł Tyrum z całym spokojem - tak się sprawy mają. - Wstał z miejsca i podszedł do kotary oddzielającej sąsiednie pomieszczenie. - Coś dziwnego dzieje się na górnych chodnikach. Otrzymuję niezwykle meldunki. Okazuje się także, że twoi żołnierze dopuścili się morderstwa; mam na to dowód. - Tyrum odsłonił kotarę i oczom Vorusa ukazało się ciało radiooperatora, którego zabito w chwili, gdy nawiązywał łączność z Nervą. - Widzisz, Vorusie, tego biedaka znaleziono, gdy strażnicy próbowali ukryć zwłoki w zakamarkach dolnych chodników.

Nawet najmniejszy muskuł nie drgnął na kamiennym obliczu Vorusa.

- Ta sprawa nie leży w twoich kompetencjach, radco - powiedział. - Rzecz miała związek z naruszeniem dyscypliny.

Skutek był taki, że Tyrum stracił cierpliwość.

- Mylisz się, Vorusie. Znam twoje mocarstwowe ambicje. Dążysz do tego, aby Voga stała się potężna i gotów jesteś zaryzykować całe nasze złoto.

- A dlaczego nie? Czy rzeczywiście musimy się godzić na nędzną wegetację w podziemiach i czy ciągle mamy rozpamiętywać to, co stało się przed wiekami?

- Tak właśnie, bowiem to jedyna możliwość przetrwania naszej społeczności - Tyrum uderzył pięścią w stół. - W istocie, złoto dało nam wiele w przeszłości i dzięki niemu staliśmy się wielcy. To jednak nie przyniosło niczego dobrego. Przeciwnie, doprowadziło nas na skraj przepaści. Wdaliśmy się w wojnę cybernetyczną, Cyborgowie stali się naszymi największymi wrogami, groziła nam zagłada. Dopóki wszyscy w kosmosie uważają, że Voga jest nie zamieszkała i nie wiedzą, że jest ową legendarną, złotą planetą, nic nam nie grozi i jesteśmy bezpieczni.

- Bezpieczni?! - krzyknął Vorus jeszcze bardziej rozwścieczony. - Rzecz idzie nie tylko o bezpieczeństwo, ale o coś więcej. Czy naprawdę musimy kryć się jak szczury w podziemiach. Odrzucam taką filozofię.

- I gotów jesteś wszystko zaryzykować? Właśnie! Widzę, że nie mogę już polegać ani na tobie, ani na twoich strażnikach. Milicja Rady przejmie posterunki na górnych chodnikach.

Tego Vorus się nie spodziewał. Od wieków bowiem to on sprawował pieczę nad podziemiami planetoidy.

- Nie wolno wam tego zrobić! - wybuchnął.

- Taką decyzję podjęła Wysoka Rada i milicja już wkracza do akcji. Mamy nad wami przewagę, więc wszelki opór jest bezcelowy.

- Jeszcze zobaczymy! - warknął Vorus i ruszył do drzwi. Tyrum skoczył na równe nogi.

- Albo się podporządkujesz decyzjom Rady, albo zostaniesz uznany za buntownika!

- Nie dbam o to - krzyknął Vorus. - Nie obchodzą mnie wasze decyzje. Jeszcze zobaczymy, kto będzie władał Vogą - obrócił się na pięcie i wypadł z sali.

Najazd Cyborgów

Doktor dokręcał ostatnie śrubki i dostroił pentalion. Wyprostował się, wyjął zegarmistrzowską lupę z oka i przetarł czoło. Zamontował osłony konsoly i zaczął uruchamiać transmateriałizator. Maszynaria zaskoczyła, przezroczyście prostopadłością rozjaśnił się i... nic. Doktor powtórzył operację. Znowu nic. Spróbował jeszcze raz. Bez skutku.

- Co się dzieje? - zapytał zaniepokojony kapitan Stevenson. - Maszyna nie działa?

- Działa, działa, pracuje pełną mocą. Wygląda jednak na to, że Harry'ego i Sary nie ma w kabinie odbiorczej transmateriałizatora na planetoidzie. - Widząc zaś zafrasowaną minę kapitana, Doktor zapytał: - Ma pan jakieś wieści?

- Niestety. Radar sygnalizuje zbliżanie się statku kosmicznego.

- Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego - skomentował Doktor i raz jeszcze spróbował uruchomić transmateriałizator.

- Obawiam się jednak, że są powody do niepokoju. Po pierwsze nie sygnalizowano żadnych rejsów w tym rejonie, a po wtóre - wygląda na to, że ów nieznany obiekt zmierza prosto ku nam.

- No to chodźmy zobaczyć - rzekł Doktor i ruszył za Stevensonem do radaru. Domyślał się, do kogo należy ten statek, ale wolał nie ujawniać dej nowiny. Może to i dobrze - pocieszał się - że Sara z

Harrym są tam, gdzie grozi im mniejsze niebezpieczeństwo.

Tymczasem oni błędzili podziemnymi korytarzami, próbując dotrzeć do transmaterializatora. Nagle Harry stanął jak wryty.

- Słyszysz? - zapytał.

Oboje zaczęli nadśłuchiwać. Z głębi korytarza dochodziły jakieś dziwne trzaski.

- Co to może być?

- Ktoś strzela - powiedział ponuro Harry.

- Jakbyśmy nie mieli innych kłopotów - skomentowała Sara.

- Mamy szczęście, nie ma co mówić, jeszcze tego nam brakowało, żeby wybuchła wojna.

- A niech się wytłuką nawzajem - mruknął Harry i zaczął biec w przeciwną stronę do tej, z której dobiegały strzały. Mieli jednak pecha. Trafili prosto na patrol milicji Wysokiej Rady z bronią gotową do strzału.

- Przykro mi - rzekł Harry unosząc ręce do góry - ale sama widzisz: z deszczu pod rynnę.

W rejonie sali posiedzeń strażnicy Vorusa stawiali zaciekle opór milicji. Atakujący mieli jednak przewagę i krok po kroku wypierali strażników, którzy cofnęli się aż po złote drzwi.

- Poddajcie się - zawołał Sheprah, kapitan oddziału milicjantów - dalszy opór nie ma sensu. Nie warto przelewać krwi.

Jedyną odpowiedzią były serie z miotaczy.

- Będziemy walczyć do ostatka - zawołał Vorus, stając w

drzwiach. - Nikogo nie dopuścimy do naszej sali posiedzeń.

Sheprah zawahał się. Dobrze wiedział, że strażnicy są ślepo oddani swemu dowódcy i spełnią każdy jego rozkaz. Jeśli dojdzie do szturmu, to nie ulega wątpliwości, że padnie sporo ofiar także po stronie atakujących.

- Wstrzymać ogień, kontrolować sytuację - rozkazał. - Muszę porozmawiać z Tyrumem.

Milicjanci przegrupowali siły, szykując się do oblężenia. Rozlegały się już tylko pojedyncze strzały. Vorus wrócił do środka. W sali posiedzeń czekał nań roztrzęsiony, ogarnięty paniką Magrik. Vorus nie zwrócił na niego uwagi.

- Trzeba utrzymać pozycje za wszelką cenę - rzekł do adiutanta. - Jeśli

Tyrum odkryje Pioruna, to koniec naszych planów.

Adiutant zasalutował i wyszedł, aby przekazać rozkazy. Dopiero wtedy Vorus zwrócił się do Magrika.

- Każę zaraz zlikwidować więźniów. Gdyby dostali się w ręce Tyruma, wówczas ich zeznania mogłyby tylko skomplikować sytuację.

- Za późno, Vorusie - rzekł przerażony Magrik. - Więźniowie zbiegli. Stało się to tuż przed atakiem milicji na nasze pozycje. Są już pewnie u Tyruma.

Dyżur przy radarze pełnił Lester. Na ekranie wyraźnie było widać jasny punkt - radarowe echo zbliżającego się statku.

- Spróbuj jeszcze raz nawiązać łączność - polecił Stevenson. Lester włączył mikrofon.

- Stacja namiarowa Nerva wzywa statek kosmiczny. Stacja namiarowa Nerva, jak nas słyszycie, odbiór!

Żadnej odpowiedzi. Jasny punkt na ekranie był coraz bliżej.

- Ponowić próbę - rozkazał Stevenson. - Lecą prosto na nas.

- Tu stacja namiarowa Nerva. Ostrzegamy, stacja jest objęta kwarantanną. Mamy epidemię. Powtarzam: stacja jest objęta kwarantanną. We własnym interesie nie zbliżajcie się.

Głośnik milczał, jeśli nie liczyć trzasków w eterze.

- Nie sądzę, aby zechcieli odpowiedzieć - rzekł cicho Doktor.

- Jeśli to ci, o których myślę, to z całą pewnością będą milczeć.

- Kapitanie! - krzyknął Lester - zbliżają się. Chyba będą lądować. Przełączę na obraz krótkiego zasięgu.

Po chwili na drugim ekranie ukazał się tajemniczy pojazd. Trójka mężczyzn uważnie mu się przyjrzała. Statek był podniszczony, ale sprawny. Nie przypominał żadnego z tych, które zwykle dobiegały do stacji.

- Nigdy czegoś podobnego nie widziałem - rzekł Stevenson. - A pan? - zwrócił się do Doktora.

- Owszem, widziałem ten typ przed wielu, wielu laty i miałem nadzieję, że po raz ostami. To statek Cyborgów!

Z daleka dobiegł charakterystyczny dźwięk i cała stacja zachybotała się, gdy pojazd Cyborgów osiadł przy zewnętrznej śluzie.

Doktor ruszył do drzwi, dając znak dwójce towarzyszy, aby szli za nim.

- Szybko - krzyknął - jedyna szansa, to zatrzymać ich na zewnątrz.

Pobiegli w głąb korytarza, w kierunku śluzy i aparatury cu-

mowniczej.

Doktor otworzył hermetyczne drzwi. Śluza wewnętrzna była jeszcze pusta, a luk prowadzący na zewnątrz nie naruszony.

- Dajcie jakieś narzędzia - krzyknął do Lestera. - Może uda się zablokować hydrauliczne podnośniki śluzy i przynajmniej zyskamy na czasie.

Lester podał skrzynkę z narzędziami. Doktor odchylił pokrywy urządzeń hydraulicznych i próbował odłączyć główny przewód zasilający system podnośników. Bez skutku jednak. Od czasu ogłoszenia kwarantanny nikt nie konserwował mechanizmów i śruby nie chciały ustąpić. Nie pomagały żadne wysiłki. Nagle Lester dał znak, że coś się dzieje.

Rozległ się charakterystyczny dźwięk otwieranej śluzy, gdy powietrze z szumem zaczęło wypełniać kabinę przejściową po drugiej stronie hermetycznych drzwi.

- Za późno - westchnął Doktor - są już na pokładzie. Dał znak Lesterowi i obaj wyszli na korytarz, gdzie niecierpliwie oczekiwali ich Stevenson.

- Cyborgowie - rzekł krótko Doktor. - Uciekamy. Może uda nam się gdzieś schować, na przykład w sekcji remontowej... - przerwał widząc, że Stevenson nie rusza się z miejsca. Kapitan wyjął broń i szykował się do obrony.

- Nie ma chwili do stracenia - krzyknął Doktor. - Za mną!

- Moim obowiązkiem jest obrona stacji - odrzekł Stevenson.

- Przejście ze śluzy jest dość wąskie - zwrócił się do Lestera - weźmiemy ich w krzyżowy ogień.

- Tak jest - odpowiedział Lester i zarepetował miotacz.

- Jest pan bardzo odważnym człowiekiem, kapitanie - pona-
glał Doktor - ale to nie ma sensu. Po drugiej stronie są Cyborgowie.
To tak jakby chciał pan zatrzymać słonia za pomocą dziecinnej pro-
cy. Uciekajmy, póki jeszcze jest czas.

Doktor był w błędzie. Nie mieli już żadnej szansy. Przerażony
wzrok Stevensona nie pozostawiał nawet cienia wątpliwości. Dok-
tor, który stał plecami do śluzy, obrócił się i znalazł się oko w oko z
potężną, srebrzystą postacią. Za nią kilkunastu innych Cyborgów
tłoczyło się w przejściu.

Kapitan nie wierzył własnym oczom. Słyszał o Cyborgach,
widywał nawet ich wizerunki, ale nie był przygotowany na to, co
teraz miał przed oczami. Cyborg, który jako pierwszy wszedł na po-
kład stacji, mierzył ponad dwa metry i połyskiwał srebrzyście, jak-
by był z metalu lub jakiegoś plastiku. Jego głowa i korpus stanowiły
całość, a na piersiach miał jakieś dziwne urządzenia i instrumenty,
których przeznaczenia Stevenson nie potrafił określić.

Oblicze Cyborga było jakby karykaturą ludzkiej twarzy. Miał
okrągłe oczy i szparę w miejscu ust, na czole rodzaj lampy, a za-
miast uszu - dwie anteny. Przybysze byli uzbrojeni. Każdy z nich
dźwigał w ręku długi na pół metra metalowy pręt z białą, cylin-
dryczną głowicą.

Stevenson i Lester wahali się może pół minuty.

- Ognia! - zawołał kapitan.

- Nie róbcie tego - krzyknął Doktor, lecz jego głos utonął w
trzasku serii z obu miotaczy. Celowali prosto w przywódcę, ale ten
tylko się zachwiał, ponieważ ogień z miotaczy nie przebija srebrzy-

stej powłoki. Podniósł broń i wymierzył w Stevensona. Kapitan padł na miejscu. Drugi strzał dosięgnął Lestera. Odrzucił go aż pod ścianę. Doktor nie czekał na ciąg dalszy. Puścił się pędem w głąb głównego korytarza.

- Stop! - krzyknął za nim Cyborg, głosem nie wyrażającym żadnej emocji.

Doktor nie słuchał. Ruszył jeszcze szybciej do przodu.

Cyborg wymierzył i odpalił po raz trzeci. Doktor zakręcił się wokół własnej osi, uderzył w ścianę i osunął się na podłogę.

- Opór został złamany, stacja należy do nas - oświadczył przywódca Cyborgów beznamiętnym głosem. Jego ton nie zawierał nawet śladu triumfu czy satysfakcji z odniesionego zwycięstwa. Cyborgowie bowiem nie mają uczuć.

Napastnicy zaczęli przeczesywać stację, aby upewnić się, czy wszyscy obrońcy zostali unieszkodliwieni. Jeden z nich zatrzymał się przy drzwiach i zaczął nadśłuchiwać. Coś zwróciło jego uwagę, nacisnął więc klamkę, ale drzwi były zamknięte. Bez większych ceregieli, jednym ruchem wyrwał potężne drzwi z zawiasów. Pod mocnym uchwytem hartowana stal rwała się jak papier. W kącie pokoju siedziała jakaś ludzka postać. Cyborg wymierzył broń.

- Nie strzelać. Jestem waszym przyjacielem - wrzasnął przeżony Kellman. - To ja przekazywałem wam informacje.

Pomogło. Cyborg opuścił broń.

- Zaprowadź mnie do waszego wodza - rzekł Kellman, bezwiednie powtarzając ulubione zdanie wszystkich autorów powieści fantastycznych.

- Chodź - odparł Cyborg i wypchnął Kellmana na korytarz.

Zaprowadził go do kabiny załogowej, gdzie na podłodze ułożono ciała Doktora, Stevensona i Lestera i gdzie znajdował się zaimprovizowany punkt dowodzenia oddziału inwazyjnego.

- To ty jesteś Kellman? - zapytał przywódca Cyborgów. Kellman kiwnął głową.

- Nie zabiliście ich jeszcze? - zapytał patrząc na nieprzytomnych mężczyzn na podłodze.

- Nie, bo będą potrzebni do realizacji naszego planu. Co ty robisz, Kellman? - Cyborg zmienił temat widząc, że agent zaczyna przeszukiwać kieszenie Doktora.

- To właśnie ten obcy, o którym wam meldowałem. Doktor.

- Doktor? Tak nazywa się odwieczny wróg Cyborgów - rzekł przywódca.

- Sądzisz, że to właśnie on?

- To chyba niemożliwe. Ów Doktor, którego wspominam, zadał nam wielką klęskę przed wieluset laty, wedle ziemskiej miary czasu, a istoty ludzkie nie żyją tak długo. Poza tym jego wygląd nie odpowiada wizerunkowi zapisanemu w naszej pamięci. A dlaczego go rewidujesz?

- To właśnie z jego powodu nalegałem na przyśpieszenie akcji. Doktor jest znacznie bardziej inteligentny aniżeli pozostali, a zatem ogromnie niebezpieczny. Chcę się przekonać, kim on właściwie jest.

- I co znalazłeś?

- Nic specjalnego. Trochę cukierków - marmoladek, na pół zjedzone jabłko i zabawkę jojo. Tylko tyle.

Kellman wstał i z przywódcą Cyborgów zaczął przyglądać się mapie na stole nawigacyjnym.

**- A więc to jest plan podziemnej osady na planetoidzie? -
upewnił się.**

- Tak jest. Spodziewam się, że jak tylko zauważą, że wylądowaliśmy, przystąpią do ataku.

- To nie problem. Mają tylko lekką broń. Nic groźnego dla Cyborgów.

- Gdzie jest główne wejście w głąb?

- Tutaj - pokazał palcem Kellman. - Osobiście je zbadałem. Sztolnia jest głęboka. Dochodzi do samego środka planetoidy.

- A gdzie jest stacja do transmateralizacji?

- Zaraz obok. Dołożyłem starań, żeby była jak najbliżej. Przywódca jeszcze przez chwilę studiował mapę.

- Znakomicie - pochwalił Kellmana. - Dobrze się spisałeś.

Doktor, którego organizm był znacznie bardziej zahartowany i silniejszy niż innych ludzi, zdążył już oprzytomnieć i w milczeniu przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Ciężka mu jednak rola biernego obserwatora, więc w pewnym momencie wtrącił się:

- Jedna tylko rzecz mnie interesuje, Kellman. Na jaką liczysz nagrodę? Na całe złoto Vogi?

- Nie ma mowy o złocie, człowieku - odparł przywódca Cyborgów. - Voga będzie rozbita. Zostanie z niej tylko pył.

- Już raz podjęliście taką próbę - Doktor wyraźnie drażnił Cyborga.

- Tym razem doprowadzimy dzieło zagłady do końca. Wy

zaś będziecie nam służyć pomocą. Dlatego też darowaliśmy wam życie.

- Właśnie się zastanawiałem, dlaczego obeszlście się z nami tak łagodnie. Ale ciekaw jestem, jak właściwie mamy wam pomóc?

- Jądro Vogiego składa się z czystego złota - przywódca wskazał na środek mapy.

Doktor wstał i jak gdyby nigdy nic dołączył do Cyborga, nie bacząc na strażnika przy drzwiach, który podniósł broń do strzału.

- Ach, rozumiem! Złoto to trucizna dla waszych organizmów, prawda?

- Złoto nie sprzyja naszym systemom wewnętrznym i właśnie dlatego zachowaliśmy przy życiu trzy istoty ludzkie.

- I cóż owe trzy istoty mają zrobić?

- Przenieść ładunki wybuchowe w głąb sztolni. Gdy zostaną odpalone przy użyciu zdalnego zapalnika, Voga przestanie istnieć.

- Razem z nami - zauważył Doktor z całym spokojem.

- Oczywiście, ale to nie ma znaczenia, spełnicie bowiem już swoje zadanie.

Doktor popatrzył na ponurą twarz Kellmana i obojętne oblicze Cyborga, po czym zaśmiał się serdecznie.

- Patrzcie państwo, czego się doczekaliśmy. Jesteśmy potrzebni i pożądani. Co za wspaniałe uczucie!

7 Żywe bomby

Kapitan Sheprah, szef milicji, zameldował Tyrnmowi:

- **Opór w sztolniach i chodnikach został złamany. Strażnicy trzymają się jeszcze w rejonie sali posiedzeń.**

- **Tak jak przewidywaliśmy - rzekł Tyrum. - Niech tam sobie będą. Tymczasem zaproponuj przerwanie ognia.**

- **Przecież możemy wziąć ich szturmem.**

- **Ale za cenę wielu ofiar. Uważam, że lepiej będzie poczekać.**

- **Tak jest - potwierdził rozkaz Sheprah. - Jest jeszcze jedna sprawa, radco. Otóż przechwyciliśmy dwoje ludzi... - i opowiedział o szczegółach aresztowania Harry'ego i Sary. - Wszystko wskazuje na to - dokończył - że uciekali przed oprawcami Vorusa, których zresztą też zatrzymaliśmy. Potwierdzili, że mieli rozkaz odszukania i zlikwidowania jeńców.**

Była to ważna informacja i Tyrum postanowił osobiście przesłuchać zatrzymaną dwójkę Ziemiaków. Sheprah dał znak wartownikowi, aby posłano po Harry'ego i Sarę. Tymczasem Tyrum z kapitanem rozważali sytuację.

- **Jeśli Vorus dopuścił się zdrady, a na to wygląda - rzekł Tyrum z całą powagą - to lepiej dla niego będzie, jeśli zginie w walce, zanim wpadnie w moje ręce.**

- **Myślisz, radco, że Vorus rzeczywiście zdradził?**

- **Sądzę, że wdał się w konszachty z ludźmi, obiecując im złoto za dostawę broni.**

7

- A dlaczego? - Sheprah był żołnierzem i nie znał się na niuansach wielkiej polityki. - Ach, rozumiem... aby przejąć władzę na naszej planetoidzie! - dokończył, sam odpowiadając na własne pytanie.

- Właśnie. Nigdy nie ukrywał ambicji osobistych i już od dawna chciał

zająć moje stanowisko. Nie przypuszczałem jednak, że ośmieli się spiskować z nieprzyjaciółmi.

- A więc uważasz, że ludzie to też nasi wrogowie? - Sheprah nadal nie pojmował wszystkiego. - Przecież kiedyś, przed wiekami, byli naszymi sojusznikami.

- To prawda, ale też po wielkiej, historycznej porażce, jaką ponieśliśmy, przekonaliśmy się, że w całym kosmosie możemy liczyć tylko na siebie. Jeśli udało nam się przetrwać najgorsze, to tylko dlatego, że zachowaliśmy ostrożność i dystans wobec wszystkich. Teraz zaś muszę sprawdzić, czy Vorus istotnie pozostawał w kontakcie z nieprzyjaciółmi.

Straż wprowadziła więźniów. Sheprah wyszedł.

Harry i Sara po raz drugi w krótkim odstępie czasu stanęli przed obliczem wysokiego przedstawiciela Vożan. Ten jednak, w odróżnieniu od Vorusa, wydawał się sympatyczniejszy, a przynajmniej nie tak brutalny, choć - co z miejsca oboje wyczuli - pod maską uprzejmości kryła się żelazna wola i wielka siła charakteru.

- Witajcie - rzekł Tyrum podnosząc się z miejsca i pozdrawiając ich nader uprzejmie. - Nazywam się Tyrum - przedstawił się - i jestem wielkim radcą Vogu.

Harry'ego zaskoczyła wyszukana forma. Nie spodziewał się takiego przyjęcia.

- Bardzo mi miło pana poznać - wyjąkał. - Moje nazwisko Harry Sullivan, a to moja przyjaciółka, Sara Jane Smith.

Tyrum skłonił się z galanterią. Dziewczyna zastanawiała się, czy nie powinna odpowiedzieć dworskim ukłonem, uznała jednak, że wystarczy zwykły skłon głowy.

- Proszę mi powiedzieć - zaczął Tyrum - na czym polegała wasza misja? - Dwójka jeńców w lot pojęła, że mimo całej uprzejmości, ich rozmówca nie zadowolili się żadną zdawkową odpowiedzią.

- Misja? - pośpieszyła Sara z wyjaśnieniem. - Ależ nie przybyliśmy tu w żadnej misji.

- To prawda - potwierdził Sullivan. - Znaleźliśmy się tu przez przypadek.

- Jak to przez przypadek? - zapytał Tyrum, patrząc głęboko w oczy obojgu zatrzymanym.

Harry westchnął i otarł czoło.

- Dobrze - powiedział - opowiem panu, jak się sprawy miały od początku. Uprzedzam jednak, że to dłuższa historia. - I przy pomocy Sary zaczął wyjaśniać, jak to trafili najpierw na stację namiarową, a później znaleźli się na planetoidzie. - I oto jesteśmy - zakończył opowieść, nie bardzo wierząc, czy udało mu się przekonać rozmówcę.

- Jednego nie rozumiem - rzekł Tyrum po chwili. - Najpierw opowiadał pan o jakiejś zarazie, epidemii kosmicznej, która nawiedziła stację, później zaś wspomniał pan o truciznie. Więc o co właściwie chodzi?

- Tak - wtrąciła Sara - myśmy też na początku niczego nie rozumieli.

- Dopiero Doktor odkrył, na czym to wszystko polega - dokończył Harry.

Tyrum raz jeszcze przeanalizował podane przez jeńców fakty.

- Tak - powiedział - myślę, że brzmi to dość logicznie i można wam uwierzyć.

- Mówimy prawdę - westchnęła z ulgą Sara.

- Z drugiej jednak strony - ciągnął Tyrum - jeśli w istocie jesteście niewinnymi podróżnikami, to dlaczego Vorus chciał was pozabawić życia i dlaczego aż tak bardzo obawiał się, że wpadniecie w moje ręce?

- Chciał nas zabić? - upewnił się zaskoczony Harry. Tyrum pokrótce przedstawił zeznania aresztowanych strażników.

- A jednak nie rozumiem - wtrąciła Sara. - Nie potrafię sobie wyjaśnić, dlaczego Vorus nastawał na nasze życie. Przecież nie zrobiliśmy mu nic złego.

- Uważał, być może - głośno zastanawiał się Tyrum - że wasza obecność stanowi dlań zagrożenie. Zakładał pewnie, że wiecie coś, co może świadczyć przeciwko niemu.

- Na przykład, co? - spytała Sara.

- Powiedzmy, że wiecie coś o spisku i o tym, że konspirował przeciwko mnie.

- Ależ myśmy go w ogóle nie znali. Po raz pierwszy zobaczyliśmy go zaledwie pół godziny temu, prawda, Harry?

Tyrum niecierpliwie zaczął krążyć po gabinecie.

- Chodzi o coś, co może mieć związek ze stacją namiarową - mruknął. - To potwierdza moje podejrzenia. Vorus zawsze miał daleko idące ambicje. Miasto, w którym się znajdujecie - zwrócił się do jeńców - było pierwotnie schronem dla naszych ludzi. Mieszkamy

tu, to znaczy ci z nas, którym udało się przetrwać, ukryci głęboko w tunelach, w obawie przed naszymi największymi wrogami, Cyborgami. Słyszeliście o Cyborgach? - zapytał z nienawiścią w głosie.

- Doktor trochę nam opowiadał - Sara wzruszyła ramionami. - Ale, jak rozumiem, Cyborgowie wyginęli przed wiekami.

- Przypomniały mi się te dziwne metalowe bestie na stacji - rzekł Harry. - Wspominałem już, że jedna z nich zaatakowała Sarę... Doktor powiedział, że to cyberczury, czyli szczury cybernetyczne.

Ta informacja wprawiła Tyruma w absolutne przerażenie.

- Naprawdę? - upewnił się. - Vorus chyba oszalał! On prowokuje zemstę Cyborgów. - Ruszył do drzwi. - Chodźcie za mną - zawołał.

- Dokąd? - spytała Sara.

- Do złotej sztolni. Czas najwyższy zdemaskować Vorusa. Tymczasem ten negocjował z kapitanem Sheprahem warunki przerwania ognia.

- A więc, co masz do zaoferowania, Sheprah? - zapytał arogancko.

- Proponuję tymczasowy rozejm. Nie będziemy szturmować sali posiedzeń.

- Rozsądnie mówisz. Przecież roznieślibyśmy to twoje tałajtajstwo.

Sheprah, pamiętając słowa Tyruma, nie zareagował na obrażę.

- Powtarzam - rzekł tylko - że jeśli nie będziecie nas prowokować, to wstrzymamy ogień. Ale strzeż się, Vorusie, jeśli nie dotrzymasz umowy, to zaatakujemy bez litości.

Vorus pożegnał go pełnym nienawiści spojrzeniem i wrócił do sali posiedzeń, gdzie czekał Magrik.

- A więc - zapytał Vorus niecierpliwie - rakietę gotową?

- Potrzebujemy jeszcze godziny.

- Nie mogę wam tego obiecać - warknął Vorus. - Cyborgowie są już pewnie na stacji - to po pierwsze, a po drugie, nie wiem, jak długo Tyrum i jego banda zechcą jeszcze zwlekać.

- Ależ Vorusie, nasz agent, Kellman, jest na stacji. Obiecałeś mu przecież, że niczego nie zaczniesz, dopóki nie zjawi się u nas.

Vorus jednak nie zamierzał zaprzętać sobie głowy umową z Kellmanem. Nie obchodziło go, czy agent ujdzie z życiem, czy nie.

- Wystąpiły nowe okoliczności - powiedział. - Chodzi przede wszystkim o nasze własne bezpieczeństwo. Lepiej niech zginie, niż miałby ujawnić nasz plan wobec Cyborgów.

Magrik kiwnął głową ze zrozumieniem i wiarą, że przełożony wie, co robi.

- Dobrze, Vorusie - powiedział - dam ci znać, jak tylko będziemy gotowi.

Nieświadom tego, że sojusznicy z Vogiego zostawili go na pastwę losu, Kellman asystował przy próbach transmateriałizatora.

- Wszystko w porządku - ocenił przywódca Cyborgów - aparatura działa należycie.

- Są pewne trudności po drugiej stronie - rzekł Kellman, jak-

by od niechcenia. - Doktorowi nie udało się uruchomić urządzenia odbiorczego na Vodze i nie zdołał sprowadzić z powrotem dwójki swoich przyjaciół. Podejrzewam, że wystąpiła tam jakaś drobna awaria. Jeśli tego nie naprawimy, a ja mogę to zrobić, to nie zdołasz ściągnąć z powrotem na stację swoich żołnierzy, których chcesz wyekspediować na Vogę.

- Zastanawiam się, Kellman, jak to się dzieje, że przestałeś się troszczyć o ludzi, a zaczynasz się martwić o nas, Cyborgów. Czy możesz mi to wyjaśnić? - zapytał przywódca obojętnym tonem.

Kellman przestraszył się, że jego intencje zostały zdemaskowane. Musiał dostać się na Vogę, i to jak najszybciej. Jeśli bowiem nie ostrzeże swoich sojuszników o planach Cyborgów, to ci ostatni wysadzą planetoidę, a złoto, na które liczył, przestanie po prostu istnieć. Bał się też, że jeśli nie zdoła się wyrwać ze stacji, to zginie razem ze wszystkimi Cyborgami, gdy Vorus wystrzelił raketę. Niebezpieczeństwo groziło z obu stron. Vożanie i Cyborgowie okupujący stację zwarli się w śmiertelnym uścisku, a on, Kellman, znalazł się między młotem a kowadłem.

- Zrobisz, jak zechcesz, wodzu - rzekł siląc się na spokój. - Chciałem ci tylko oddać przysługę, jak już wiele razy w przeszłości. To przecież w waszym interesie zainstalowałem transmateriałizator na planetoidzie, jak również dla was programowałem cyberczury.

- To prawda. Obiecaliśmy sowitą nagrodę za twoje usługi.

- I jeśli chcę obecnie wyprawić się na Vogę, to tylko po to, aby wszystkiego dopilnować, żeby żaden przypadek czy awaria nie przekreśliły waszych planów. Jeśli transmateriałizator nawali, to

nie uda się przetransportować bomb na Vogę - dokończył i wstrzymując oddech, czekał na decyzję, która mogła stanowić o jego życiu lub śmierci.

- Niech tak będzie - rzekł wreszcie przywódca. - Tylko radzę, abyś wracał jak najszybciej. Uprzedzam cię, że gdy tylko rozpocznie się odpalanie, nie będzie już ratunku.

Z uczuciem wielkiej ulgi Kellman zajął miejsce w kabinie przekaźnikowej transmateriałizatora. Cyborg uruchomił urządzenie do molekularnej dezintegracji i podwójny agent znikł.

Doktor, którego właśnie przyprowadziła straż, słyszał ostatnią wymianę zdań i widział, jak Kellman znika. Wprowadzono też Lestera i Stevensona. Wniesiono także jakieś tajemnicze ładunki, z wyglądu przypominające plecaki albo pakunki, w jakie są wyposażani astronauta wychodzący w otwartą przestrzeń kosmiczną. Doktor zwrócił uwagę, że Cyborgowie, którzy nieśli owe dziwne paczki, czynili to z najwyższą uwagą i ostrożnością.

- A cóż to takiego - zapytał ironicznie - udajemy się na wybieżkę?

Wódz nie zareagował na żart. Opowiadać dowcipy Cyborgom, to jak rzucać grochem o ścianę.

- To bomby kobaltowe - rzekł przywódca rzeczowym tonem.
- Najpotężniejszy materiał wybuchowy w całym kosmosie.

- Słyszałem - odparł Doktor. - Ale jeśli dobrze pamiętam, to ich stosowanie jest zakazane postanowieniami Interkosmicznej Konwencji Armageddon.

Doktor wspomniał jedno z najpoważniejszych porozumień

międzygalaktycznych w dziejach - najważniejszą próbę, jaką inteligentne społeczności kosmiczne podjęły na rzecz wykluczenia najgroźniejszych broni masowej zagłady, z tym jednak, że ani Cyborgowie, ani Dalekowie nie uznali tego dokumentu, a nawet nie przysłali delegacji na konferencję, na której wypracowywano porozumienie. W sprawach wojny Cyborgowie nie kierują się żadnymi zasadami moralnymi. Dążą do absolutnego zwycięstwa za wszelką ceną. Ich jedynym celem jest totalna zagłada przeciwnika, a filozofią - teza, że cel uświęca środki.

- Powiedz mi, wodzu - Doktor zmienił temat - czym właściwie skusiliście Kellmana. Jaką ma otrzymać nagrodę?

- To nie twoja sprawa.

- A jednak. To, co mnie najbardziej zastanawia, to fakt, że przecież wy, Cyborgowie, nie dysponujecie niczym takim, co mogłoby być przedmiotem pożądanego ze strony ludzi.

- Jesteś w błędzie.

- Nie sędzę - prowokował dalej Doktor. - Nie macie ani własnej planety, ani szczególnych wpływów w kosmosie, krótko mówiąc, nie macie nic. Jesteście zbiorowiskiem cynowych żołnierzyków, przemierzających rubieże kosmosu w zużytym statku, ot co!

Lester i kapitan Stevenson spojrzeli przerażeni po sobie. Nie wiedzieli, dlaczego Doktor jeszcze bardziej prowokuje oprawców.

- Powtarzam, że jesteś w błędzie, człowieku - rzekł przywódca, postępując krok w stronę Doktora. Przewyższał go o dwie głowy i jednym ruchem cybernetycznej kończyny mógł sprowadzić nań śmierć. - Mylisz się. Naszym, Cyborgów, przeznaczeniem jest

władać całym kosmosem.

- Czyżby? Już raz tego spróbowaliście, lecz znaleźliście się wówczas na skraju przepaści.

Wódz zareagował pośpiesznie, jakby mimo wszystko w tym obojętnym, mechanicznym organizmie obudził się gniew.

- Tylko dlatego, że na przeszkodzie stanęła Voga, złota planeta. Gdyby ludzie nie mieli dostępu do jej zasobów, to wygralibyśmy wojnę cybernetyczną.

- Jednak to ludzka społeczność wyszła z wojny zwycięsko! A dlatego, że zdołaliśmy ustalić, co jest waszym słabym punktem. To był wasz koniec.

Wódz postąpił jeszcze krok w stronę Doktora.

- Właśnie dlatego - rzekł - musimy zniszczyć Vogę. To warunek dalszej, zwycięskiej tym razem kampanii.

- A więc mało wam było jednej klęski - Doktor wyraźnie ryzykował.

- Mamy ukryte części zapasowe, komponenty, z których możemy w każdej chwili stworzyć nową, potężną armię Cyborgów. Odniesiemy zwycięstwo, bo jesteśmy niezniszczalni, a nasze cybernetyczne organizmy są daleko bardziej doskonałe niż wasze, zwierzęce. Zawładniemy kosmosem, bo takie jest nasze przeznaczenie.

- Ambicja, ale nic więcej, mój stary - rzekł Doktor kpiącym tonem. - Wasz problem polega na tym, że nie tylko kończyny, ale także wasze mózgi to tylko maszyny. Też mi coś, władcy z napędem hydraulicznym!

Zniewaga wreszcie dotarła do adresata. Uniósł mechaniczną

rękę i potężny cios miał spaść na Doktora.

- Uważaj! - krzyknął Lester i w tym samym momencie Doktor dał pół kroku do tyłu, złapał Cyborga za rękę, pociągnął ku sobie i zręcznie wykonał przewrót w tył. Wyładował dokładnie tam, gdzie zamierzał - między plecakami z ładunkami wybuchowymi. Schwycił jeden i zasłonił się nim jak tarczą.

- Delikatna sprawa - rzekł przez zęby. - Bomby kobaltowe są niezwykle czułe. Wystarczy, żebym tylko upuścił ten ładunek na podłogę i... - Doktor udał, że rzeczywiście rzuca bombę o podłogę.

Ku zagładzie

Czas stanął w miejscu i wszystkim się zdawało, że cały świat zamarł w bezruchu. Bomba kobaltowa zawisła w powietrzu i nim zaczęła opadać na podłogę siłą własnego ciężenia, Doktor zręcznie złapał jedną z szelek plecaka i odwrócił niebezpieczeństwo. Stevenson z Lesterem odetchnęli z ulgą, nawet przywódca zrobił krok do tyłu. Zadowolony z efektu Doktor spojrzał wyzywająco na wodza.

- A teraz posłuchaj uważnie. Zabieraj się razem ze swoimi Cyborgami. Marsz do śluzy, załadować się na statek i żeby za parę minut już was nie było, bo w przeciwnym wypadku eksploduję bombę i wszyscy zamienimy się w proch.

- Zabijesz też siebie i tych dwóch ludzi - zauważył Cyborg.

- To prawda. Ale nie mamy nic do stracenia, skoro i tak mamy zginąć.

Doktor nie wiedział, że w czasie tej wymiany zdań wewnątrz klatki

piersiowej wodza Cyborgów jeden z zamontowanych tam procesorów zaczął wysyłać alarmujące impulsy. Dotarły one do wartownika za drzwiami. Pod metalową skorupą skrywającą czoło cybernetycznego żołnierza zapaliła się czerwona dioda. Cyborg obrócił się na pięcie i ruszył tam, gdzie go wzywano.

- A więc? - zapytał Doktor. - Macie prosty wybór: albo zginiecie razem z nami, albo opuścicie stację, a tym samym zachowacie szansę działań na przyszłość.

- Przyjmuję warunki - powiedział przywódca obojętnym głosem. Lester ze Stevensonem nie wierzyli własnym oczom widząc, że Cyborgowie ruszają w stronę śluzy. Doktor z bombą w ręku postąpił krok do tyłu i trafił prosto... w ręce Cyborga. Był to ten sam wartownik, który odebrał tajny sygnał i pośpieszył z odsieczą. Srebrne ramię objęło Doktora, prawie łamiąc mu zębra. Ostatnim wysiłkiem Doktor odrzucił plecak z bombą. Nim jednak ładunek spadł na podłogę, inny Cyborg rzucił się szczupakiem i schwycił pakunek w powietrzu.

Doktor tracił przytomność w stalowym uścisku wartownika. Jeszcze chwila, a zapadnie się w ciemność.

- Oszczędź go - rozległ się głos wodza. - Będzie nam potrzebny.

Cyborg zwolnił uścisk i Doktor osunął się na podłogę.

Gdy tylko Kellman zmaterializował się na planetoidzie, ruszył podziemnymi chodnikami na poszukiwanie Vorusa. Śpieszył się. Miał świadomość, że lada chwila bomby znajdą się na Vodze i zaraz potem rozpocznie się procedura odpalania, a od tego nie będzie już odwrotu. Zaniepokoił go odgłos strzałów. Działo się tutaj coś, czego nie było w planach.

Nagle ciemności rozproszył jasny snop światła z potężnego reflektora. Zatrzymał się oślepiiony. Zmrużył oczy i dopiero wtedy dostrzegł przed sobą kilka postaci.

- W porządku - krzyknął - jestem waszym przyjacielem. Zaprowadźcie mnie do Vorusa, który na mnie czeka.

Trafił jednak nie na strażników Vorusa, ale na patrol milicji.

- Vorus już tu nie rządzi. Staniesz przed obliczem Tyruma. Kellman próbował protestować i zaczął się szamotać.

- To sprawa najwyższej wagi - wołał. - Grozi wam straszne niebezpieczeństwo. Muszę widzieć się z Vorusem... - zamilkł, gdy otrzymał cios kolbą w głowę. Milicjanci wywlekli półprzytomnego Kellmana.

- Co za licho z tymi ludźmi - westchnął dowódca patrolu. - Gdziekolwiek się ruszyć, zawsze znajdzie się jakiś człowiek. Już Tyrum będzie wiedział, co z nim zrobić.

Gdy Doktor przyszedł do siebie, poczuł stalowe ręce Cyborgów. Zapinano na nim jakąś dziwną uprząż. Spróbował poruszyć ramionami i zrozumiał, że przytroczono mu na plecach ładunek z bombą. Otworzył oczy. Lester z kapitanem też mieli ładunki na plecach. Doktor wstał, potrząsnął głową, aby rozjaśnić umysł.

- Wystarczyłyby dwie bomby - rzekł przywódca. - Na wszelki jednak wypadek postanowiliśmy odpalić trzy, aby mieć absolutną gwarancję, że Voga ulegnie całkowitej zagładzie.

Pomocnicy zabezpieczyli ogromne metalowe klamry na piersiach tragarzy.

- Rozumiem, że zaczyna się najbardziej interesująca część operacji - powiedział Doktor żartobliwym tonem. - Czy zechciałbyś wyjaśnić, na czym polega nasza rola?

- Słuchajcie uważnie, bowiem od tego, co powiem, zależy wasze życie. Właśnie aktywowaliśmy klamry ze specjalnymi ładunkami wybuchowymi. Kontrola należy do tego oto urządzenia - wskazał na sporych rozmiarów instrument, który obsługiwało dwóch żołnierzy. Jego charakterystycznym elementem była dwuko-

lorowa tarcza zegarowa. - Musicie wiedzieć, że jakkolwiek próba odpięcia upręży, nie mówiąc już o próbie zdjęcia plecaków, nim wskazówka zegara znajdzie się na czerwonym polu, sprawi, że natychmiast eksploduje ładunek zabezpieczający. Nie spowoduje on co prawda odpalenia bomby kobaltowej, ale, co jest oczywiste, śmierć tego, kto próbował manipulować przy klamrze i wszystkich dookoła. Zrozumiano?

- Chcesz powiedzieć - upewnił się Doktor - że jeśli spróbujemy zdjąć ładunki przed wyznaczonym punktem, to wylecimy w powietrze.

- Dokładnie tak, i radzę wam o tym pamiętać.

- Nie trzeba nas do tego zachęcać. Ale tak czy owak, niewiele to zmienia naszą sytuację, bowiem, jak rozumiem, zginiemy albo od wybuchu ładunku zabezpieczającego, albo od bomby kobaltowej.

- Mylisz się. Wszystko zostało zaplanowane w taki sposób i tak rozłożone w czasie, że w chwili gdy znajdziecie się na wyznaczonym miejscu, wskazówki zegara przesuną się na czerwone pole.

- Aha - zgadł Doktor - i zacznie się ostateczna faza odliczania przed wybuchem. Ile to będzie trwało?

- Około czternastu minut, co powinno wam wystarczyć na ewakuację z Vogli za pomocą transmateriałizatora. Po powrocie na stację czeka was nagroda i, co ważniejsze, darujemy wam życie i wolność.

Doktor nie wierzył w tę obietnicę, ale nie dał tego znać po sobie i spokojnie kontynuował rozmowę.

- A skąd będziecie wiedzieć, że stosujemy się do polecenia i

że transportujemy ładunki tam, gdzie chcecie?

- Mamy podgląd na radarze. Jeśli tylko okaże się, że zbaczacie z wytyczonej drogi, damy sygnał na Vogę, a tam aparatura przekąźnikowa odpali ładunki zabezpieczające.

- A to jest ów przekąźnik - Doktor spojrział na instrument z tarczą zegarową - i jak rozumiem, wysyłacie to razem z nami na planetoidę.

- Właśnie. Towarzyszyć wam będzie dwóch żołnierzy. Zostaną oni w pobliżu kabiny odbiorczej transmateriałizatora, gdzie będą na was czekać. Po wykonaniu zadania wszyscy razem zostanieie ewakuowani na stację, nim jeszcze odpalimy zasadnicze ładunki...

- Gdybyście jednak na radarze zobaczyli, że schodzimy z wyznaczonej trasy, to wtedy wasi żołnierze ewakuują się, nie czekając na nas, zostawią przekąźnik, wy zaś tu naciśnięcie guzik i bomba wybuchnie, dobrze rozumię?

- Bardzo dobrze. Wasza jedyna szansa, to wykonać zadanie zgodnie z planem. A teraz czas na transmateriałizację.

Doktor poprawił plecak jak turysta ruszający w góry.

- Jak czas to czas. A zresztą chyba już wszystko zostało omówione - rzekł, w myślach zaś jeszcze raz zaczął analizować sytuację: jeśli będziemy usiłovali pozbyć się ładunku, nastąpi eksplozja. Jeśli nie udamy się tam, gdzie oni chcą, też. Jeśli zaś postąpimy zgodnie z instrukcją, wtedy eksploduje cała planetoida. Pozostawała tylko jedna jedyna szansa. Trzeba dostarczyć bomby na miejsce i wykorzystać pozostałe piętnaście minut nie na ewakuację, ale na rozbrownienie bomb. Sprawa była bardzo ryzykowna i niepewna, ale innej

możliwości nie było.

Jeden z Cyborgów popchnął Doktora w stronę transmateria-
lizatora.

- Ostrożnie, chłopcze! Jak wiesz, mogę w każdej chwili eks-
plodować! - obruszył się Doktor i wszedł do kabiny przekaźnikowej,
a za nim jeden z cybernetycznych żołnierzy. Po chwili zostali zde-
materializowani, a zaraz po nich w ten sam sposób zniknęła pozo-
stała dwójka ludzi i drugi strażnik ze sprzętem przekaźnikowym.

Wódz przyglądał się wszystkiemu z wyraźnym zadowolen-
niem. Jakże łatwo przejrzeć, co ludzie myślą. Wiedział dokładnie o
planach Doktora. Owa szansa, polegająca na tym, żeby w ostatniej
chwili podjąć próbę rozbrowienia bomb kobaltowych, została celowo
„wmontowana” w cały plan jako jeszcze jedno zabezpieczenie, które
gwarantowało, że ludzie dostarczą bomby na wyznaczone miejsce.
W rzeczywistości nie było żadnego piętnastominutowego margine-
su bezpieczeństwa. Bomby wybuchną, gdy tylko wskazówka sięgnie
czerwonego pola, a więc dokładnie wtedy, kiedy tragarze dotrą na
wyznaczone miejsce. Planetoida rozsypie się w proch, a wraz z nią
Vożanie ze swymi zasobami złota i oczywiście Doktor i jego przyja-
ciele.

Wódz Cyborgów uruchomił specjalny przekaźnik na konso-
lecie i od tej chwili zaczęło się odliczanie czasu przed wybuchem.

Doktor, Stevenson z Lesterem oraz dwóch pilnujących ich
Cyborgów zmaterializowali się w urządzeniu odbiorczym na plane-
toidzie. Jeden ze strażników pokazał ludziom wejście do tunelu,
który prowadził do głównego szybu wiodącego w podziemia.

- Oto mapa i w drogę - rozkazał, podając im plan podziem-

nich połączeń.

Doktor wziął mapę i ruszyli, dźwigając śmiercionośne ładunki. Zegar na przekaźniku zaczął tykać, wskazówka drgnęła i rozpoczęła swoją wędrówkę wokół tarczy. Dwie srebrne postacie stały bez ruchu. Gdy jednak z tunelu dobiegł odgłos maszerującego oddziału, Cyborgowie opuścili swój posterunek i zajęli pozycje przy wejściu do podziemi.

Głównym chodnikiem posuwał się pluton milicji w drodze do siedziby strażników Vorusa. Milicjanci zatrzymali się przy przekaźniku i patrzyli z ciekawością. Czegoś takiego jeszcze nie widzieli. Gdy jeden z nich spróbował podnieść instrument, Cyborgowie wyszli z ukrycia i serią z miotaczy zdmuchnęli śmiałka. Reszta milicjantów rozpierzchła się w popłochu, nawet nie podejmując walki. W panice uciekli w głąb podziemnego miasta. Ożył dawny koszmar. Cyborgowie powrócili na Vogę.

Odgłos strzałów dotarł także do Doktora i jego towarzyszy, ale wymienili tylko spojrzenia. Nikt nic nie mówił. Było bowiem oczywiste, co się dzieje, oni zaś niczemu nie mogli zapobiec. Sami znajdowali się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Dopiero po chwili Lester zwrócił się do Doktora.

- Naprawdę wierzy pan, że zdołamy się ewakuować?
- Wątpię. Z chwilą gdy dostarczymy ładunki na miejsce, nie będziemy już Cyborgom do niczego potrzebni.

Stevenson też był tego zdania. Nie ufał tym mechanicznym stworom.

- Co więc możemy zrobić? - zapytał.

- Tymczasem idźmy dalej - rzekł krótko Doktor.
- To bez sensu - zauważył Lester. - I tak zginieemy, więc po co się fatygować, zostanmy lepiej na miejscu.
- Jeśli się zatrzymamy, Cyborgowie eksplodują bomby zabezpieczające i wszyscy poniesiemy śmierć. Idąc zyskujemy na czasie. Zawsze może się coś jeszcze zdarzyć. Może pojawi się jakaś szansa...
- Oby - westchnął Lester.

Tymczasem w sterowni na stacji namiarowej Nerva przywódca Cyborgów śledził ich marsz na ekranie radarowym.

Otrzymał właśnie meldunek o zwycięskim starciu z milicją. Operacja rozwijała się pomyślnie.

- Wszystko w porządku - poinformował asystentów. - Tragarze dotarli już na poziom stu metrów.

- Kellman nie zjawił się w kabinie odbiorczej transmateriaлизatora - zauważył jeden z pomocników obojętnym tonem.

- To nie ma znaczenia - odparł wódz. - Jego rola już się skończyła.

Kellman tymczasem stał przed obliczem Tyruma, pilnowany przez dwóch funkcjonariuszy. Wprowadzono go do gabinetu radcy w chwili, gdy Tyrum wraz z Sarą i Harrym mieli wyruszyć na rozmowę z Vorusem. Wielki radca rozpoczął drobiazgowe przesłuchanie Kellmana. Chciał ostatecznie ustalić, co naprawdę zaszło na stacji Nerva i jakie to może mieć skutki dla jego planetoidy. Sara z Har-

rzym słuchali w milczeniu.

- A więc - pytał Tyrum - opowiedz mi jeszcze raz, punkt po punkcie, na czym polegały twoje kontakty z Vorusem.

Kellman był w kropce. Nie znał Tyruma i odnosił się do niego z wielką rezerwą. Pamiętał, że Vorus uważał go za przeciwnika. W tej sytuacji postanowił nie ujawniać planów Cyborgów i przemilczał fakt, że jego mocodawcy zamierzają wysłać na Vogę trójkę ludzi z bombami kobaltowymi. Obawiał się bowiem, że taka wiadomość może rozgniewać Tyruma i kosztować go życie. Żywił tylko nadzieję, że uda mu się dotrzeć do Vorusa i że zdoła go przekonać, aby niezwłocznie odpalił raketę, która uniemożliwi Cyborgom zdetonowanie bomb.

- Wspólnie z Vorusem - wyjaśniał, starannie dobierając słowa - opracowaliśmy plan zwabienia Cyborgów w pułapkę.

- Jaką pułapkę?

- Ściągnęliśmy ich na stację Nerva. Vorus zaś przygotował raketę z głowicą bojową, która zniszczy stację razem z Cyborgami.

Sara i Harry spojrzeli po sobie. Nie zaskoczyło ich, że Kellman spiskował z Cyborgami, ponieważ już dawno nabrali takich podejrzeń. Nie zdziwili się też specjalnie, że teraz zamierzał zdradzić Cyborgów, uważali bowiem, że ten typ bez charakteru jest zdolny do wszystkiego. Przejęli się natomiast informacją Kellmana, gdyż byli przekonani, że Doktor nadal przebywa na stacji. Kellman też zaczął się niepokoić.

- Słuchajcie - powiedział. - Tracimy tylko czas, a mamy go naprawdę niewiele. Cyborgowie szykują się, żeby wysadzić waszą planetoidę.

- A jak to zamierzają zrobić? - dopytywał się Tyrum. Kellman zwlekał z odpowiedzią. Zastanawiał się. Może lepiej jednak powiedzieć o bombach. Nie wykluczał, że Vożanie dysponują odpowiednią technologią, dzięki której będzie można rozbroić ładunki. Zdecydował więc, że powie, gdy właśnie Sheprah wpadł do pokoju.

- Radco - krzyknął - Cyborgowie wyładowali. Są na pierwszym poziomie!

- Ilu ich jest? Co robią?

- Zgodnie z meldunkiem dwóch. Nie robią niczego specjalnego. Mają ze sobą jakiś tajemniczy instrument i najwidoczniej na coś czekają. Zabili jednego z naszych. Jesteśmy bezsilni, bowiem nasza broń okazuje się bezskuteczna wobec nich.

- Jakże to? - wtrącił Harry, przypominając sobie, co kiedyś opowiadał

Doktor. - Przecież w czasie wielkiej wojny cybernetycznej mieliście odpowiednią broń i zadaliście im klęskę.

- Nie. Nasza zasługa polegała na tym, że dostarczyliśmy złoto, natomiast całą resztą zajęli się Ziemianie. To oni opracowali właściwą technologię i wyprodukowali broń. My sami byliśmy i jesteśmy bezbronni.

- Nie zdołacie zatrzymać Cyborgów inaczej, jak tylko za pomocą rakiety Vorusa - krzyknął Kellman. - Trzeba zestrzelić stację, to jedyna szansa!

- Sheprah! - zaczął wydawać rozkazy Tyrum - twoim zadaniem jest obserwowanie Cyborgów. Jeśli ruszą w głąb naszego miasta lub jeśli zjawi się ich więcej, staraj się ich zatrzymać za wszelką cenę. Reszta za mną! Idziemy do Vorusa.

Ruszyli w drogę. Kellmanowi zaś nie dawała spokoju myśl o tym, że w tym samym czasie trójka Ziemiaków wędrowała podziemnymi korytarzami, by umieścić śmiertelne ładunki w samym sercu planetoidy.

Wystarczy, żeby wódz Cyborgów nacisnął guzik na konsolce, a Voga w jednej sekundzie zamieni się w gwiazdny pył. Kellman zastanawiał się, kiedy to nastąpi. Wiedział, że już niedługo...

Śmiertelne zagrożenie

Tyrum z orszakiem dotarł do wielkiej pieczary przed salą posiedzeń, ale dalszą drogę blokowali uzbrojeni strażnicy Vorusa.

- Przepuście nas. Jestem Tyrum, wielki radca Vogi. Rozstapcie się.

Dowódca strażników nie ustępował. Gdy Tyrum miał już zażądać, żeby posłano po Vorusa, z orszaku wysunął się ogarnięty paniką Kellman. Wiedział, że czas działa przeciwko nim, i przestał nad sobą panować.

- Zejdźcie z drogi, głupcy - zaatakował ostro strażników. - Musimy widzieć się z Vorusem, bo inaczej wszyscy zginiemy.

Dostał jednak kolbą po głowie i osunął się zemdłony. Na pomoc pośpieszyli mu milicjanci Tyruma i wywiązała się strzelanina. Tyrum z dowódcą strażników usiłowali zapanować nad sytuacją, ale bez skutku.

Harry pociągnął Sarę i skryli się za załomem skalnym nie zauważeni przez nikogo.

- Spróbuję dotrzeć do kabiny transmateriałizatora - szepnęła Sara. - Trzeba dostać się na stację i ostrzec Doktora.

Harry nawet nie próbował jej zatrzymać. Wiedział, że jak ta dzielna dziewczyna coś sobie postanowi, to nie ma odwrotu.

- W porządku. Idź, ja zostanę. Może będę potrzebny.

Korzystając z zamieszania, Sara opuściła pieczarę i wtopiła się w mrok podziemnych korytarzy. Harry pożegnał ją wzrokiem, a

9
później znów zaczął obserwować wydarzenia przed salą posiedzeń.
Zjawił się właśnie Vorus zaalarmowany bezładną strzelaniną.

- Przerwać ogień. Co tu się dzieje?

Vorus miał wiele wad, ale cieszył się wielkim autorytetem i budził respekt. Na jego rozkaz zapanowała cisza. Strażnicy i milicjanci opuścili broń.

Vorus zobaczył Tyrnma i ruszył w jego stronę.

- Naruszyłeś rozejm, Tyrumie. Nie powinieneś tego robić.

- To nieporozumienie, Vorusie. Szykuje się śmiertelny atak na Vogę. W tej sytuacji musimy zaprzestać sporów i stanąć do walki ze wspólnym nieprzyjacielem.

- Rakietą! - odezwał się zakrwawiony Kellman. - Czy rakietą jest gotowa?

Vorus spojrział na Tyruma. Uznał jednak, że w sytuacji, jaka powstała, nie ma co oszukiwać.

- Prawie - powiedział. - Właśnie montują głowicę bojową.

- Za późno - jęknął Kellman. - Cyborgowie już wylądowali na Vodze.

Vorus złapał go za ramiona i potrząsnął z wściekłością.

- Co ty mówisz? Jeśliś nas zdradził, to... Kellman uwolnił się z uścisku wielkiego strażnika.

- Chciałem was ostrzec, ale nie było sposobności. Po przybyciu na stację Cyborgowie zaraz przystąpili do dzieła. Nic nie mogłem zrobić.

- Gdzie jest ta rakietą, o której mowa, Vorusie? - przerwał Tyrum. - Naprawdę masz raketę?

- Tak jest. Chodź, pokażę ci. - Przy całej grozie sytuacji, w jakiej się znaleźli, Vorus ucieszył się, że wreszcie może ujawnić swój wielki plan.

Tyrum obejrzał się, zerknął na Harry'ego i zapytał:

- A gdzie jest kobieta?

- Nie ma jej. Próbuje przedostać się na stację, aby ostrzec

Doktora.

- Nie powinna tego robić... - szepnął poblady Kellman.

- A to dlaczego? - zdziwił się Tyrum. - Jeśli wasz przyjaciel jest w niebezpieczeństwie i jeśli jest szansa, aby go uratować...

- Ależ Doktor jest tu, na planetoidzie - jęknął Kellman. - Razem z pozostałą dwójką transportuje bomby kobaltowe w głąb Vogii. Cyborgowie ich do tego zmusili. Sami nie mogli tego uczynić ze względu na obecność złota, które niszczy ich organizmy... - Nie dookończył, bowiem Harry złapał go za gardło i zaczął dusić.

Kellman padłby na miejscu, gdyby nie interwencja Vorusa i dwóch strażników, którzy odciągnęli Harry'ego. Sullivan dyszał z wściekłości.

- Wiedziałeś! - rzucił w twarz Kellmanowi. - Wiedziałeś o wszystkim, a mimo to pomogłeś przeklętym Cyborgom.

- Nie wiedziałem wszystkiego - bronił się Kellman. - Nie wiedziałem, że użyją ludzi. Mówili mi, że chcą ich oszczędzić. Sądziłem, że chcą tylko wziąć zakładników. A zresztą przybyłem tutaj, aby was ostrzec, a tego nie musiałem robić. Mogłem zostać na stacji.

- I patrzeć, jak złoto, którego tak pożądasz, zamienia się w gwiazdny pył. Łżesz! - krzyknął Harry, wyrywając się z rąk strażników.

Kellman Ignął do Vorusa, szukając w nim obrony.

- Nic nie wiedziałem o bombach. Sądziłem, że Cyborgowie zechcą po prostu wylądować na planetoidzie. Uważałem, że pojawi się wspaniała okazja, żeby ich zlikwidować, gdy zbiorą się na stacji.

- Może jeszcze się uda. Rakieta będzie wkrótce gotowa - rzekł Vorus z przekonaniem.

- Wkrótce?! - zawołał Kellman. - Czy wy naprawdę nie rozumiecie, co się teraz stanie? Dziewczyna wie o istnieniu rakiety i jeśli wygada się przed Cyborgami, to oni nie będą już dłużej czekać, tylko natychmiast zdetonują ładunki!

Sara tym razem nie błędziła. Trafiła na właściwe przejście i znalazła się u wylotu głównego tunelu, tuż obok kabiny odbiorczej transmaterializatora i dwóch Cyborgów piklujących przekaźnika. Wskazówka zbliżała się już do czerwonego pola. Sara nie знаła przeznaczenia instrumentu i nic o nim nie wiedziała, podobnie jak nie wiedziała, że Doktor znajduje się w podziemnym mieście. Nadal miała zamiar przedostać się na stację i ostrzec swego przyjaciela. Przemyśliwała, jak dotrzeć do kabiny bez zwracania uwagi Cyborgów. W tym momencie rozległy się strzały. To oddział milicji pod wodzą Shepraha zaatakował Cyborgów. Ogień z miotaczy nie robił na Cyborgach żadnego wrażenia, natomiast oni swoją bronią siali spustoszenie w szeregach milicjantów.

Sara wyczuła właściwy moment. Zajęci walką Cyborgowie nie zauważyli nawet, jak przekradła się do wnętrza urządzenia, uruchomiła je i transmaterializowała się na stację.

Tutaj też wszystko poszło jak z płatka. Wódz z asystentami byli zajęci ekranem radarowym i niczego nie spostrzegli. Sara wymknęła się z kabiny transmaterializatora i ukryła za zapasową konsolę w głębi sterowni.

- Schodzą z szybkością pięćdziesięciu metrów na minutę - dobiegł do niej meldunek jednego z Cyborgów. Nie wiedziała, co to znaczy.

- Znakomicie - rzekł przywódca. - W tym tempie osiągną

punkt detonacyjny za siedemnaście minut.

- Są zakłócenia na radarze. Fale nie przenikają przez złoto - zameldowano. - Nie mamy już odczytów poszczególnych osób z trójki transportującej bomby.

- To nie ma znaczenia. Doktor o niczym nie wie. Nadal jest przekonany, że będzie miał czas na ewakuację z punktu detonacyjnego, więc z całą pewnością wszystko przebiegnie zgodnie z planem. Ludzie nie wiedzą, że bomby wybuchną, gdy tylko wskazówka przesunie się na czerwone pole.

Sara wreszcie wszystko pojęła i uświadomiła sobie grozę sytuacji. Wpadła w pułapkę na stacji, podczas gdy Doktor był na planetoidzie i dźwigał bombę, która wybuchnie już za siedemnaście minut.

W hali montażowej, w której pracował inżynier Magrik, Harry, Tyrum i Kellman wpatrywali się w ucieleśnienie marzeń Vorusa o potędze. Rakieta spoczywała na wyrzutni, którą wbudowano w jeden z szybów prowadzących na powierzchnię planetoidy.

- Magrik i jego zespół pracowali nad tym dwa lata - Vorus nie krył dumy, że udało się im skonstruować śmiercionośną broń. - Dwa lata! - powtórzył. - A teraz okazuje się, że mamy przegrać, bo tamci są szybsi zaledwie o parę minut - dodał z goryczą.

- Jest jeszcze szansa. Niewielka, ale jest! - Kellman ścisnął Vorusa za ramię. - Jeśli odpalicie raketę, zanim bomby znajdą się na wyznaczonym miejscu...

- Magrik melduje, że jest pewne opóźnienie w montażu głowicy - Vorus z obrzydzeniem strząsnął dłoń Kellmana. - Potrzebuje jeszcze dwudziestu minut. Przegraliśmy, Kellman.

Zapadła cisza, gdy przygnębieni patrzyli na rakieta. Ponure milczenie przerwał Harry Sullivan.

Stanął on przed zatrważającym dylematem. Jeśli rakietę zostanie odpalona, zginie Sara, która znajduje się na stacji. Jeśli zaś nie dojdzie do odpalenia, to zginą wszyscy na planetoidzie, włączając w to Doktora i jego samego. Uznał więc, że w tej sytuacji musi coś postanowić.

Najpierw trzeba w jakiś sposób zapobiec eksplozji bomb, dzięki czemu będzie można uratować Doktora i całą planetoidę. Następnie należy przekonać Vożan, a będzie to szalenie trudne, aby opóźnili start rakiety do czasu, kiedy uda się sprowadzić Sarę z powrotem.

- Czy można... czy jest jakiś sposób, żeby zapobiec eksplozji bomb? - zwrócił się do Kellmana, który spoglądał nieprzytomnym ze strachu wzrokiem.

- Raczej nie. Sygnał zostanie nadany ze stacji i dotrze tu do... przekaźnika. Mam! - krzyknął Kellman. - Przekaznik! Właśnie. Gdyby tylko udało się zniszczyć przekaźnik. Rzecz w tym, że sygnał ze stacji jest za słaby, aby dotrzeć bezpośrednio do wnętrza planetoidy. Właśnie dlatego zastosowali przekaźnik, aby go wzmocnić. A przekaźnik, to ten instrument, którego pilnuje dwóch Cyborgów.

- A więc jest wyjście - zawołał Harry. - Vorusie, Tyrumie, musicie połączyć swoje siły i zaatakować posterunek Cyborgów. Jest ich tylko dwóch, więc przewaga jest po waszej stronie. Powiedzcie żołnierzom, że przyszłość planetoidy zależy od nich.

- Możemy spróbować. Nie wierzę co prawda w skutek, ale spróbujmy - rzekł Tyrum i wydał odpowiednie rozkazy kapitanowi

Sheprahowi. Vorus wezwał dowódcę strażników i powtórzył rozkazy.

- To wszystko przez te twoje szalone plany - rzekł Tyrum do Vorusa. - Zdajesz sobie sprawę, że żołnierze zginą, a wkrótce potem także my wszyscy. Sprowadziłeś na nas zagładę.

- Chciałem dać wam wolność. Chciałem wyprowadzić was na powierzchnię. Chciałem, żebyśmy żyli godnie, jak nasi przodkowie, a nie kryli się w podziemiach jak krety.

- I ten twój wielki plan spłodziłeś wspólnie z tym łajdakiem - oskarżał dalej Tyrum, wskazując na Kellmana. - To zdrajca, podwójny agent i morderca. Egoista i chciwiec, który chciał zrabować nasze złoto.

- A jednak to był wspaniały plan - upierał się Vorus. - Zabrało tylko paru minut... - znacząco postukał w metalowy korpus rakiety.

Harry uznał, że dość tych wzajemnych oskarżeń.

- Tymczasem - powiedział - trzeba podjąć jeszcze jeden wysiłek. Pójdziemy do głównego szybu i ostrzeżemy Doktora, aby nie instalował bomb. To wprowadzi w błąd Cyborgów.

- Ale jak chcesz się tam dostać? Cyborgowie pilnują wejścia. Jeśli żołnierze nie dają im rady, to jak ty chcesz to zrobić? - zapytał ponuro Kellman.

- A może jest jakieś inne zejście do szybu? Mamy tu cały labirynt chodników, więc jeśli któryś z nich...

- Tylko główny szyb dochodzi do jądra planetoidy - rzekł Kellman. - I nie łączą się z nim żadne chodniki.

- Chwileczkę - przerwał Tyrum. - Jeśli dobrze pamiętam, to

kiedyś wybudowano dodatkową sztolnię wentylacyjną. Było to dawno i od tego czasu nikt jej nie używał, ale kto wie, może da się tamtędy przejść.

- Nie ma chwili do stracenia - Harry ruszył do drzwi. -
Idziemy!

Tyrum stanął na czele i poprowadził ich labiryntem podziemnych korytarzy. Na koniec zatrzymał się przed osłoniętym korytarzem przejściem.

- To tu - powiedział. - Choć już nie jestem młody, to pamięć mnie nie zawiodła. Gdy to budowano, służyłem w korpusie saperów...

- Można tędy przejść? - przerwał Harry.

- Nie jestem pewien. Od dawna nikt tędy nie chodził, więc chodnik mógł się zawalić. Osłony na pewno uległy zniszczeniu i nie jest tam teraz bezpiecznie.

- To nieważne - krzyknął Harry. - Trzeba spróbować!

- Życzę powodzenia - rzekł Kellman i odwrócił się na pięcie, ale Harry go przytrzymał.

- O nie, mój przyjacielu. Idziesz ze mną!

- To szaleństwo - wyrywał się Kellman.

- Sam stwierdziłeś, że ten człowiek to zdrajca i morderca - zwrócił się Harry do Tyruma. - To dzięki niemu wszyscy znaleźliśmy się w niebezpieczeństwie. Zgadzasz się ze mną, że powinien teraz pójść i przynajmniej spróbować odrobić wyrządzone nam krzywdy?

- Tak będzie sprawiedliwie - odrzekł Tyrum z powagą.

- Proszę, nie pozwól na to - Kellman szukał jeszcze ratunku

u Vorusa. - Przecież jesteśmy sojusznikami.

- Nic już nas nie łączy. Zdradziłeś nas. Nie obchodzi mnie, co się z tobą stanie.

Kellman jeszcze błagał, ale na znak Tyruma eskorta uniosła broń.

- Idziemy! - krzyknął Harry, popchnął Kellmana w ciemny korytarz i ruszył w ślad za nim.

Kamikadze

Sztolnia wentylacyjna była niska, tak że musieli iść pochyleni, a miejscami nawet na czworakach. Dawno nie używana, była pełna odłamków skalnych i gruzu. Zaczynało brakować powietrza, bowiem od kroków obu mężczyzn podniósł się pył i kurz. Kellman raz po raz przystawał i błagał, żeby zawrócić. Harry jednak bezlitośnie ponaglał zdrajcę. Na wszelki wypadek kazał mu iść przodem. Jeśli na końcu korytarza jest jakaś zasadzka - myślał - to niech niebezpieczeństwo spadnie na Kellmana. Nie zasługuje on na nic lepszego. Posuwali się z trudem. Stracili poczucie czasu. Wydawało się im, że nigdy nie dotrą do kresu.

Podobne myśli dręczyły Doktora i jego towarzyszy. Co prawda, chodnik, którym podążali, był znacznie obszerniejszy, ale bomby ciążyły niemiłosiernie i cały czas mieli ponurą świadomość, że na grzbietach dźwigają własną śmierć. Szli bez słowa. Plecaki z bombami miały wmontowane repetytory głównego zegara odmierzającego minuty pozostałe do wybuchu. Orientowali się więc, że czas pędzi nieubłaganie i że już wkrótce wskazówka sięgnie czerwonego pola.

- Już niedługo - westchnął Lester, mający jednak nadzieję, że Doktor coś wymyśli.

- Właśnie - mruknął Doktor - wkrótce to się skończy.

- Tak czy inaczej - dodał sarkastycznie Stevenson. Kapitan

był znacznie starszy od Lestera i wiek dawał znać o sobie. Był bardzo zmęczony.

Doktor parł do przodu, mając świadomość, że lada chwila będzie musiał podjąć ostateczną decyzję, czy kontynuować marsz aż do wyznaczonego punktu i tam zdjąć plecaki, dając wiarę obietnicy Cyborgów, czy postąpić inaczej. Nie ufał Cyborgom. Liczył się z tym, że eksplozja nastąpi, gdy tylko dotrą na miejsce.

Sprawdził czas i ocenił przebytą drogę. Miał pewien pomysł. Był to ryzykowny plan, więc czekał do ostatniej chwili, licząc, że może zdarzy się jakiś szczęśliwy przypadek lub wystąpią korzystniejsze okoliczności. Nic takiego jednak nie nastąpiło, więc zdecydował, że czas już na realizację owego planu ostatniej szansy. Zatrzymał się. Pozostała dwójka też stanęła.

- Panowie, nie ma co dłużej zwlekać. Mam następujący pomysł...

Tymczasem zaś ani Doktor, ani Kellman z Harrym, nie wiedzieli, że są już blisko siebie, że lada chwila ich drogi w podziemiach planetoidy się przetną.

Harry z Kellmanem stanęli właśnie wobec nowej przeszkody. Wyjście ze starego chodnika wentylacyjnego blokowało potężne rumowisko głazów.

- Nie damy rady - westchnął Kellman. - Trzeba zawrócić.
- Mowy nie ma! Musimy się przebić - i Harry zaczął rozgrzebywać skalne odłamki. Z góry posypał się kamienny gruz.
- To ryzykowne - krzyknął Kellman. - Zasypie nas.
- I tak pisana jest nam śmierć. - Harry nie zwracał uwagi na

rozpaczliwe protesty Kellmana i dalej rozgrzebywał zawalone skały. - Bierz się do roboty - popędził zdrajcę.

Chcąc nie chcąc, Kellman zaczął pomagać. Zrazu szło im dość łatwo, później jednak natrafili na znacznie większy głaz.

- Pomóż mi - rzekł Harry. - Jeśli się z tym uporamy, to może uda się wyjść.

Sprawa była ryzykowna, ponieważ wielki kawał skały podtrzymywał całą resztę i stanowił jedyną podporę stropu. Naparli wspólnie. Głaz się zachybotał. Z góry posypały się odłamki. - Uwaga! - wrzasnął przerażony Kellman. - To zawał - i były to jego ostatnie słowa. Porwała ich kamienna lawina.

Doktor wyjaśniał właśnie szczegóły swego planu, gdy nagle ze ściany chodnika zaczęły odrywać się skalne odłamki, a po chwili obsypał ich grad kamieni, pyłów i kurzu, wśród których toczyły się ciała Kellmana i Harry'ego Sullivana. Doktor dostał w głowę kawałkiem skały i stracił przytomność.

Harry z trudem łapał powietrze, wygrzebując się z lawiny. W uszach miał szum, a całe ciało obolałe. Obok leżał Kellman z dziwnie odrzuconą głową. Najwidoczniej skręcił kark w czasie upadku. Harry nie czuł ani żalu, ani litości. Kellman nie zasłużył sobie na nic lepszego. Ale tuż obok Kellmana leżał Doktor z twarzą w rumowisku i dziwnym ładunkiem na grzbiecie. Nieco dalej bezładnie leżeli Lester ze Stevensonem, podobnie obładowani.

Harry sprawdził puls Doktora. Na szczęście było to tylko omdlenie. Doktor łada moment przyjdzie do siebie. Najważniejsza sprawa, pomyślał Harry, to zdjąć mu z pleców ten przekłety ładunek. To mu ulży. Obejrzał dokładnie płataninę pasków. Uznał, że najpierw trzeba odpiąć wielką klamrę na piersiach. Dlaczego wła-

ściwie Doktor tego sam nic zrobił - przemknęło mu przez myśl i miał już zwolnić zatraski, gdy nagle usłyszał głośny protest.

- Nie! Nie dotykaj tego!

To Lester ocknął się i próbował stanąć na nogi. Dawał rozpaczliwe znaki i krzyczał, żeby niczego nie ruszać.

- O co chodzi? Trzeba mu zdjąć ten ciężar z pleców, bo inaczej nie oprzytomnieje.

- To mina! Wybuchnie przy najmniejszym ruchu! Harry cofnął ręce jak poparzony. Doktor zaczął wracać do siebie. Obrócił się na plecy i rozpoznał przyjaciela.

- Ależ to Harry Sullivan. Jak się masz! Co za niespodzianka.

- Pomogę panu wstać - Harry spojrzał z troską, nie rozumiejąc dziwnego zachowania Doktora. Pomieszało mu się w głowie od uderzenia, pomyślał.

- Harry, mój chłopcze, czy ta lawina to twoja sprawka? - uśmiechnął się

Doktor.

- Obawiam się, że tak - przyznał Harry. - Widzi pan, byliśmy w chodniku wentylacyjnym i przejście było zablokowane...

- I zaraz potem próbowałeś jeszcze odpiąć mój zaminowany plecak?

- Tak. Ale widzi pan, nie wiedziałem, że to wybuchnie i... Doktor usiadł, kiwnął głową ze zrozumieniem i nagle krzyknął wielkim głosem:

- Idiota! - Okrzyk odbił się echem w czeluściach chodnika. Doktor wstał, poklepał Harry'ego po plecach. - Ale cieszę się, że cię

widzę. - Spojrzał na Lestera i Stevensona. - A teraz, moi panowie, tak jak wam mówiłem, nim nam przerwano, czas przystąpić do realizacji mojego planu. Jak się pan czuje, kapitanie? Da pan radę?

- Poradzę sobie. - Stevenson wyprostował się. - A zresztą, już niedługo do końca, cokolwiek to znaczy - i poszedł w dół sztolni.

Ku zdziwieniu Harry'ego Doktor ruszył w przeciwnym kierunku, pociągając za sobą pozostałą dwójkę. Szybkim kłusem jął przemierzać dopiero co przebytą drogę. Stevenson tymczasem sam jeden wędrował do wyznaczonego przez Cyborgów celu. Za dziewięć minut wskazówka na repetytorze dojdzie do czerwonego pola...

Przywódca Cyborgów całą uwagę skupił na ekranie radaru.

- Mamy meldunek - poinformował go zastępca - że Vożanie znów atakują nasz posterunek na planetoidzie i że ponoszą dotkliwe straty.

- Wzmocnić wiązkę radarową - rozkazał wódz, nie odrywając oczu od ekranu.

- Pracujemy już na maksymalnym zakresie - zameldował operator.

- Sygnał jest niewyraźny - stwierdził z niezadowoleniem przywódca. - Nie daje precyzyjnego odczytu.

- A to dlatego, że złoto pochłania wiązkę radaru. Złoto w ogóle nie sprzyja naszej technice.

Przywódca wiedział o tym dobrze. Instynkt podpowiadał mu jednak, że dzieje się coś nieoczekiwanego, a być może niebezpiecz-

nego. Radarowe echo wskazywało, że cel krąży w miejscu albo rusza się to w jedną, to w drugą stronę. Nie potrafił tego sobie wyjaśnić.

- Niewykluczone, że tragarze rozdzielili się - zasugerował zastępca. - Może już teraz odpalimy ładunki?

Wódz analizował sytuację. Sara obserwowała go z ukrycia, wiedząc, że zapada najważniejsza decyzja.

- Na jakim poziomie są tragarze?

- Tysiąc sześćset metrów.

- Jeszcze poczekamy. Oceniam, że potrzebują około ośmiu minut, by dotrzeć na planowane miejsce detonacji. Nawet jeśli znajdzie się tam tylko jedna bomba, to i tak wystarczy. Za osiem minut ta przeklęta planeta przestanie istnieć. - Wódz powiedział to oczywiście obojętnym, rzeczowym tonem, bowiem Cyborgowie nie okazują żadnych emocji. Mimo to Sara miała wrażenie, że jest zniecierpliwiony i zaniepokojony.

- Nastąpi wreszcie zagłada tej planety - powtórzył przywódca. - Rozpłynie się w przestrzeni. Wyparuje. Jeszcze osiem minut...

Tuż przy wylocie z tunelu, ale poza zasięgiem wzroku Cyborgów, Doktor z Harrym i Lesterem padli na kolana i nerwowo zaczęli zbierać odłamki skalne, łamiąc i krusząc je na piasek. Udało się im zgromadzić znaczny zapas żwiru i złotego piasku, bowiem w podziemiach przebiegały przebogate żyły złota. Harry oceniał, że mniej więcej połowa surowca to czyste złoto.

- A gdzie jest Sara? - zapytał Doktor nie przerywając pracy.

- Dokładnie nie wiem - ciężko westchnął Harry. - Kiedy się

rozstawaliśmy, wybierała się na stację...

- A po co?

- Sądziła, że pan jeszcze tam jest, i chciała pana ostrzec, że szykuje się nalot raketowy.

- Jaki nalot, Harry? - Doktorowi serce podeszło do gardła.

- To skomplikowana sprawa - Harry podrapał się w głowę z namysłem. - Wygląda na to, że nieboszczyk Kellman pracował nie tylko dla Cyborgów, ale jednocześnie współdziałał także z miejscowymi...

- Z Vożanami?

- Właśnie. W każdym razie zwabił Cyborgów na stację i wystawił ich na atak z planetoidy. Wystąpił tylko jeden problem - Harry znów westchnął. - Rakieta jeszcze nie jest gotowa, a więc planu nie można zrealizować. Przynajmniej na razie.

- Może to i dobrze, skoro Sara jest na stacji.

- Pozostało nam jeszcze pięć minut - zauważył Harry, patrząc na repetytor zegara na plecaku Doktora.

- A więc to, co zebraliśmy, musi wystarczyć - rzekł Doktor, sprawdzając zapas złotego piasku. - Harry, pamiętasz, na czym polega plan?

- Prosta sprawa. Podkradam się do Cyborgów i sypię piasek na instrumenty na klatkach piersiowych.

- Doskonale - pochwalił Doktor. - Ruszamy - dał znak Lesterowi.

Tyrum z Vorusem niecierpliwili się w hali montażowej. Cią-

gle jeszcze trwały prace przy rakiecie. Atmosfera była napięta, obaj przywódcy nadal toczyli spór.

- Jednego możesz być pewien - mówił Tyrum. - Jeśli mimo wszystko wyjdziemy z tego cało, to nie minie cię sąd za zdradę.

- Sądem nie strasz, bo nie mam powodu, żeby się obawiać. Powiem wszystko o planie i o tym, że naprawdę nie można już tak dłużej żyć...

Nie dokończył, bo właśnie zjawił się Sheprah. Już z daleka widać było, że młody oficer nie ma pomyślnych wieści.

- Przegraliśmy - zameldował. - Wielu zostało zabitych, a reszta wycofała się w popłochu.

- Zawróć ich - krzyknął Vorus. - Trzeba ponowić atak, bo inaczej wszyscy zginiemy. Cała planeta!

- To się nie uda. Żołnierze stracili ducha, trzeba by zmobilizować nowy batalion.

- Nie ma już czasu. Do ataku!

- Chodź, przyjacielu - rzekł cicho Tyrum, obejmując swego oficera ojcowskim gestem. - Pójdę z tobą. Stary już jestem, ale może mnie posłuchają, gdy sam stanę na czele.

Doktor z Harrym i Lesterem czekali na właściwy moment, stojąc u wylotu chodnika. Tuż za załomem dwójka stalowych olbrzymów pilnowała stacji przekaźnikowej. Cyborgowie patrzyli w przeciwną stronę, w kierunku tunelu, skąd mógł nadejść kolejny atak Vożan. Doktor sprawdził czas. Zostały jeszcze dwie minuty. Dał znak towarzyszom.

- Teraz!

Z garściami pełnymi złotego piasku zaczęli się skradać ku Cyborgom, którzy nadal stali odwróceny tyłem. Nie zakładali widać takiej możliwości, że ludzie zbuntują się i wrócą. Lecz gdy trójka gotowała się już do skoku, jeden z Cyborgów nagle spojrzął w ich stronę i...

Sytuację uratował Harry. Był najmniej zmęczony, a do tego nie obciążony ładunkiem wybuchowym, skoczył więc do przodu jak mistrz sprintu i nim Cyborgowie zdolali podnieść broń, rzucił się na nieprzyjaciół. Znalazł się w stalowych objęciach olbrzyma i życie jego zawisło na włosku. Hydrauliczne ramiona opłotły go i zaczęły dusić. Udało mu się jednak uwolnić jedną rękę i sypnąć złotym piaskiem prosto w pierś Cyborga. Skutek był natychmiastowy. Zwolnił on uścisk i zatoczył się, Harry zaś wykorzystał to i rzucił drugą garść śmiertelnościanego pyłu. Cyborg zawył głosem z syntetyzatora, stracił równowagę i padł, a z jego stalowych stawów zaczęła się sączyć zielona ciecz.

Doktor z Lesterem znaleźli się w gorszej sytuacji. Drugi z Cyborgów ostrzeliwał się z miotacza. Padli więc, żeby uniknąć ognia, a gdy Cyborg repetował broń, skoczyli ku niemu. Mechaniczny stwór machnął stalową ręką i najpierw Lester, a później Doktor znaleźli się na ziemi. Cyborg podniósł broń, wymierzył... Lester zadziałał jak automat. Skoczył na olbrzyma i obalił go razem z przekaźnikiem, a następnie, zupełnie świadomie, niemal z namysłem, sięgnął do kłamry spinającej paski plecaka...

Harry do końca życia będzie pamiętał tę jedną jedyną chwilę, która zadecydowała o wszystkim. Wryła się w jego pamięć jak nagle zatrzymany kadr w filmie. Widział, jak Doktor osuwa się na ziemię.

Zapamiętał skok Lestera i gąszcz ludzkich i mechanicznych kończyn na ziemi, po czym dostrzegł jak w zwolnionym filmie, że Lester sięga do klarmy.

Wybuch był tak silny, że Harry'ego uniosło w powietrze. Upadł w głębi jaskini. Ze stropu oderwały się odłamki skał i przysypały zwłoki Lestera, mechanizmy Cyborga i przekaźnik. Spod kamieni wyglądała tylko tarcza zegarowa ze wskazówką tuż przed czerwonym polem.

Harry pobiegł do Doktora. Chwilę trwało, nim doszedł on do siebie i zobaczył zwalone kamienie oraz potrzaskany przekaźnik.

- Wygląda, że jest zniszczony - powiedział Harry - ale nie można mieć pewności, że już nie działa. - Obaj myśleli o tym samym.

- To racja - przytaknął Doktor. - Jest tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać - i zaczął wolno zdejmować śmiercionośny plecak...

11

Piorun w akcji

Spokojnym ruchem odpiął klamrę i ściągnął ładunek z pleców, kładąc go ostrożnie na ziemi.

- W porządku - odetchnął z ulgą Harry.

Doktor wpatrywał się w stos kamieni, pod którym spoczywało ciało Lestera i zdruzgotane mechanizmy Cyborga.

- Lester wiedział, że było to jedyne wyjście. Poświęcił własne życie. Przekaznik był najsłabszym ogniwnem. Bez niego Cyborgowie nie mogą odpalić ani ładunków zabezpieczających, ani tym

bardziej bomb kobaltowych.

- A więc już po wszystkim, jesteśmy bezpieczni?
- Nie, Harry, jeszcze nie. Pamiętaj o Cyborgach na stacji.

Pewnie zaraz przystąpią do nowej akcji.

- Sara też tam jest - dodał Harry i zamilkł, bowiem nadbiegł cały tłum Vożan z uśmiechniętym Tyrumem i triumfującym Sheprahem na czele.

Wódz postukał gniewnie w ekran radaru.

- Straciliśmy kontakt.
- Nie ma żadnych sygnałów z Vogu - dodał zastępca. - Całkowita blokada. Nieczynny przekaźnik odpalania.

- W tej sytuacji przechodzimy na bezpośrednią detonację. - Przywódca Cyborgów sięgnął do przełączników na konsolce, pilnie obserwując planetoidę na monitorze.

Miał już włączyć odpowiedni przycisk, gdy Sara wyskoczyła z ukrycia i spróbowała złapać go za rękę. Nie udało się. Hydrauliczna kończyzna ani drgnęła, natomiast zastępca wodza błyskawicznie chwycił ją i jednym ruchem odrzucił daleko pod ścianę. Uderzyła o metal i osunęła się na podłogę. Cyborg ani na chwilę nie oderwał elektronicznych oczu od ekranu. Zdecydowanym ruchem nacisnął przycisk detonatora i czekał, aby zobaczyć na monitorze zagładę planety. Tymczasem nic nie nastąpiło. Voga trwała w przestrzeni jak zadra. Przywódca uderzył stalową dłonią o konsolę.

- Klęska, ale dlaczego? Dlaczego?

Kiedy Sara odzyskała przytomność, leżała związana w kącie sterowni. Wódz postanowił, że na razie nie będzie jej likwidował.

Uznał, że najpierw powinien ją przesłuchać. Podniosła głowę, sprawdziła obraz na ekranie monitora. Żadnych zmian. Voga trwała w przestrzeni. Wódz siedział przy konsolecie.

- Przegraliście - powiedziała z satysfakcją. - Doktor was pokonał.

- Nie zostaliśmy jeszcze zwyciężeni - odparł Cyborg obojętnym, mechanicznym głosem. - Komputery przygotowują awaryjny plan kampanii.

- Jedyne co naprawdę możecie zrobić, to zmyć się ze stacji, zanim rakieta Vożan... - ugryzła się w język.

- Mów dalej - wtrącił ostro Cyborg - bo i tak cię zmusimy.

Sara nie miała już innego wyjścia. Tajemnica się wydała.

- Wasz przyjaciel, Kellman, wcale nie był po waszej stronie - zaczęła ze złośliwą satysfakcją. - Zwabił was w pułapkę. Vożanie mają raketę wycelowaną prosto w stację.

- Kłamiesz.

- Możecie mi wierzyć lub nie - wzruszyła ramionami. - Wasza sprawa. Zresztą wkrótce się przekonacie, czy mówię prawdę.

- Gdyby mieli raketę, to już by jej użyli.

- Niekoniecznie. Zresztą mieli pewne opóźnienie. Mogę wam tylko powiedzieć, że Kellman bardzo ich namawiał, aby z niej skorzystali.

- Jeśli rzeczywiście mają raketę i jej nie wystrzelili - Cyborg głośno analizował sytuację - to nasuwa się logiczny wniosek, że rakieta nie jest gotowa lub że nie jest zdatna do użytku. W tej sytuacji, nie jest ona czynnikiem, który powinniśmy brać pod uwagę, oprza-

cowując nowy plan działań. Kontynuujemy akcję. Vogę trzeba zlikwidować.

Doktorowi zgotowano entuzjastyczne przyjęcie w sali posiedzeń. Wszyscy śpieszyli z gratulacjami i powoli zaczynał mieć tego dość.

- Człowieku - zwrócił się Tyrum w oficjalnej formie - pragniemy ci wyrazić naszą najgłębszą wdzięczność za to, że uratowałeś naszą planetę od zagłady.

- Nie mów do mnie „człowieku” - wtrącił Doktor delikatnie. - To nie jest zbyt dokładne. Wystarczy „Doktorze”.

Vorus tymczasem przełączał ścienny monitor na halę montażową. Gdy pojawił się obraz rakiety, przerwał wymianę uprzejmości i z wyraźną dumą pokazał Doktorowi.

- A więc to jest ta wasza rakietka. Wygląda owszem, owszem. Vorus był wyraźnie dotknięty chłodną oceną ze strony Doktora.

- Oto nasz Piorun - podkreślił. - A więc? - zwrócił się do Margrika, który właśnie zjawił się w sali posiedzeń.

- Gotowe. Możemy zacząć odliczanie przed startem. - Margrik aż pękał z dumy.

- Nareszcie! - wykrzyknął Vorus. Nacisnął ukryty włącznik i z biurka wysunęła się konsoleta z kompletem instrumentów do uruchamiania rakiety. - Nareszcie - powtórzył. - Marzyłem o tej chwili.

- Przepraszam, ale czy nie zechciałbyś wstrzymać się trochę

- poderwał się Doktor. Stał między konsolą a Vorusem. - Mam pewien plan, który chciałbym przedstawić, zanim podejmiesz ostateczną decyzję.

- Nie ma potrzeby. Najlepszy plan to odpalić naszego Pioruna.

- Rozumiem, że chciałbyś już uruchomić tę zabaweczkę, ale pozwól, że zanim to zrobisz, wyprawię się na stację i sam spróbuję załatwić Cyborgów.

- Sam? - zdziwił się Vorus.

- Daj mi piętnaście minut. Jeśli po kwadransie nie zgłoszę się przez radio, wtedy odpalisz raketę.

- Jesteśmy ci ogromnie wdzięczni, Doktorze, za wszystko, co już dla nas zrobiłeś - odezwał się Tyrum - i naprawdę nie ma potrzeby, abyś raz jeszcze ryzykował życie w naszej sprawie.

- Nie chodzi już o was, ale o Sarę. Poświęciła się, żeby mnie ratować, więc moim obowiązkiem jest przyjść jej z pomocą. Tylko piętnaście minut - spojrzał na obu Vożan - o nic więcej nie proszę.

- Całe życie czekałem na tę chwilę - rzekł ponuro Vorus - a ty każesz mi jeszcze zwlekać...

- Ale trzeba ustąpić. Mamy wobec Doktora dług wdzięczności - rzekł Tyrum, patrząc wymownie na Vorusa.

- Niech będzie, ale tylko piętnaście minut i ani sekundy dłużej - zgodził się wreszcie Vorus.

- Idę z panem - rzekł Harry.

- Mowy nie ma - odparł stanowczo Doktor. Harry miał wiele

zalet, ale nie potrafił trzymać języka za zębami. Doktor obawiał się, że w decydującym momencie młody człowiek mógłby strzelić jakieś głupstwo. - A poza tym jesteś tu potrzebny. Chciałbym, żebyś odszukał kapitana. Biedak pewnie jeszcze krąży w tunelach i zastanawia się, kiedy nastąpi eksplozja. Czas już na mnie - zmienił temat Doktor. - Mam jeszcze jedną prośbę - zwrócił się do Tyruma - czy mógłbym dostać niewielki worek złotego piasku?

Spętana Sara obserwowała ze swojego miejsca w kącie sterowni, jak wódz z zastępcą analizowali dane z komputera. Było oczywiste, że nowy plan jest już prawie gotów.

- Koordynaty uderzenia? - pytał przywódca Cyborgów.
 - Dwadzieścia trzy stopnie, siedem minut North i jeden-sześć-zero stopni, dwadzieścia minut East. Dokładnie tam, gdzie skorupa planetoidy jest najsłabsza.
 - Szybkość zbliżania w punkcie zero?
 - Dziesięć tysięcy jednostek świetlnych. Stacja uzyska tę prędkość w siódmej minucie przed uderzeniem.
 - Moc wybuchu niezbędna do spowodowania dezintegracji planety?
 - Tona na jednostkę.
- Przywódca raz jeszcze przeanalizował cały plan. Przewidziano wszystko. Wykluczono wszelkie ryzyko, bowiem wyłączono udział ludzi w przedsięwzięciu.
- Doskonale. Przystąpić do realizacji. Rozkazać, aby ładunki wybuchowe przeniesiono na stację.

- Tak jest.

- Pewnie jesteś ciekawa, na czym polega nasz nowy plan - rzekł wódz do Sary, gdy zastępca wyszedł. - Otóż, załadujemy na stację bomby kobaltowe z zapalnikami uderzeniowymi. Następnie uruchomimy silniki kosmiczne i skierujemy stację w stronę planetoidy, tak aby rozbiła się o jej powierzchnię w odpowiednim punkcie, co spowoduje dezintegrację Vogii. Jeśli o nas chodzi, to będziemy obserwować uderzenie z pokładu naszego statku. Ty zaś będziesz miała możliwość obejrzenia tego wszystkiego z bliska. Zostaniesz tutaj do końca.

Wódz wyszedł. Sara raz jeszcze próbowała się uwolnić, gdy nagle rozległ się charakterystyczny dźwięk transmateriałizatora i ku jej wielkiemu zaskoczeniu zjawił się Doktor. Natychmiast wyciągnął ze swych przepastnych kieszeni bardzo stary scyzoryk i uwolnił dziewczynę.

- Cyborgowie chcą załadować na stację bomby kobaltowe i rozbić ją o powierzchnię planetoidy - krótko przedstawiła sytuację.

- A Vożanie wycelowali właśnie rakietę w naszą stronę! - Doktor rozejrzał się po pomieszczeniu i zauważył leżący na stole programator cyberczurów, który kiedyś należał do Kellmana.

- Weź to, Saro, i chodź ze mną. Nie mamy ani chwili do stracenia. Może jeszcze uda się coś zrobić. - Wybiegł z sali, a za nim Sara z programatorem.

Przekradli się na główny korytarz. Z daleka widzieli tłum Cyborgów przy śluzie cumowniczej. Wnoszono pojemniki wielkości sporych beczek.

- No właśnie - mruknął Doktor. - Bomby kobaltowe.

- Ułożyć ładunki w części dziobowej - dobiegł głos przywódcy. - Czasu jest niewiele. Działać z maksymalnym pośpiechem.

- Schowamy się w kabinie załogowej - Doktor pociągnął Sarę w stronę kryjówki - tam nas nie znajdą. Cyborgowie nie śpiją.

- Siedem minut do rozpoczęcia startu! - Magrik sprawdził czas na pulpicie sterowniczym. W sali posiedzeń znów zapadła cisza. Przerwał ją Vorus.

- Cóż Doktor może zdziałać w tak krótkim czasie? - rzucił zniecierpliwiony. - Nie powinniśmy zgadzać się na opóźnienie - i sięgnął do przycisków startowych.

- Nie dotykaj! - zaprotestował Tyrum z całą powagą. - Jeszcze siedem minut.

- Niech ci będzie. Poczekam. Ale gdy wreszcie rakieta wystartuje, będzie to nie tylko koniec Cyborgów, ale także kres twojej władzy. Ja przejmę rządy na planetoidzie.

- O tym zdecydują wyborcy.

- To był mój pomysł. Ja wszystko zaplanowałem i przeprowadziłem. Lud uzna mnie za wyzwoliciela!

- Jeśli zapomni, że niemal doprowadziłeś do zagłady Vogu - rzucił Tyrum.

- Zwycięzcy nikt nie sądzi. Będą mnie błagać, żebym objął władzę.

Dalszą wymianę zdań przerwał Harry. Zjawił się z kapitanem, którego odnalazł w sztolni, gdzie czekał on na spełnienie losu. Stevenson był

wyczerpany i nie mógł uwierzyć, że koszmar już się skończył.

- Są wiadomości od Doktora? - zapytał Harry niecierpliwie.
- Żadnych - odparł Vorus - i nie sądzę, abyśmy się doczekali - dodał nie bez złośliwości.
- Jeszcze pięć minut - oznajmił Magrik.
- Pięć minut do startu - powtórzył Vorus przez interkom do wyrzutni.

Sara z przyjemnością wyciągnęła się na koi. Była śmiertelnie znużona, ale pilnie obserwowała Doktora, który właśnie rozmontował zewnętrzną skorupę cyberczura.

- Sądzi pan, że się uda? - Sara miała tysiąc wątpliwości.
- Ależ oczywiście! - odparł Doktor z przekonaniem, dając do zrozumienia, że obraża go taki brak wiary w jego talent i umiejętności.

Rozległ się szum zapuszczanych motorów. Podłogi i ściany zaczęły wyraźnie wibrować.

- Co się dzieje? - zapytała zaniepokojona Sara.
- Uruchomili silniki.

Przywódca Cyborgów rzucił okiem na kąt sali, gdzie jeszcze przed chwilą leżała spętana dziewczyna.

- Ktoś ją uwolnił. Logicznie rozumując, to zapewne Doktor zjawił się znów na stacji. Jeśli jest na pokładzie, bez wątpienia będzie chciał nam przeszkodzić. Nakazuję przeszukanie wszystkich pomieszczeń i natychmiastową likwidację obu biologicznych istot.

Pomocnik wybiegł, żeby wypełnić rozkaz.

- Zwiększyć moc do dziesięciu jednostek. - Poleciał wódz swemu zastępcy, który zajął miejsce przy konsoli sterowniczej.

- Tak jest. Dziesięć jednostek. Przyspieszenie w normie. Praca silników w normie.

- Włączyć dopalacze.

- Tak jest. Dopalacze włączone.

Doktor skończył przeprogramowywanie cyberczura. Sara stała przy drzwiach nad słuchując. Rozległy się kroki.

- Nachodzą.

Doktor położył cyberczura na podłodze i ukrył się z Sara w szafie na ubrania, obserwując pomieszczenie przez szparę. Drzwi do kabiny otworzyły się z trzaskiem i do pokoju wszedł Cyborg. Elektronicznym wzrokiem obrzucił całe pomieszczenie i zaczął iść w stronę szafy. Doktor uruchomił przyciski na programatorze. Cyberczur ożywił się, zaświecił oczami i ruszył w stronę Cyborga. W chwili gdy Cyborg sięgał do drzwi szafy, cyberczur skoczył. Metalowymi kleszczami wpił się w korpus Cyborga, wyszukał stosowne miejsce i wstrzyknął porcję złotego piasku prosto w system hydrauliczny metalowego organizmu. Cyborg wydał z siebie dziwny skrzek i zachwiał się, dokładnie tak, jak cybernetyczny wartownik na Vozde, którego Harry posypał złotym pyłem. Padł i z metalowych złączy zaczął się sączyć zielonkawy płyn.

- No to o jednego mniej! - zawołał Doktor i wyskoczył z szafy, pociągając za sobą Sarę. - Naprzód! - krzyknął, biorąc pod pachę cyberczura, tak jakby unosił z podłogi ulubionego jamnika.

- Dwie minuty do rozpoczęcia. Wszyscy na miejsca. - Magrik włączył mikrofon interkomu do stanowiska odpalania.

- Nie czekamy dłużej! - krzyknął Vorus. - Zaczynamy.

- Vorusie, spójrz tylko! - zawołał Magrik. - Według wskaźników cel zmienia koordynaty. Stacja ruszyła z miejsca.

- Leci w naszym kierunku. Kurs na przecięcie naszej orbity.

- Vorus odsunął brutalnie Magrika i sam zajął miejsce za konsolą.

- Odpalić silniki! - krzyknął do interkomu.

- Chwileczkę - zaprotestował Harry. - Obiecałeś Doktorowi całe piętnaście minut i nie pozwolę, abyś zadziałał choć o sekundę wcześniej. - Rzucił się na Vorusa, który rąbnął go z całej siły. Harry przeleciał pod ścianę. Vorus uruchomił przyciski startowe.

- Dziesięć, dziewięć, osiem, siedem - zachrypiał głośnik. Vorus pilnie obserwował wskaźniki na pulpicie.

- Odejdź od konsoli! - krzyknął Tyrum wyciągając broń.

Vorus nie zwracał na niego uwagi.

- Cztery, trzy, dwa, jeden...

Tyrum strzelił. Vorus zachwiał się, ale nim padł na pulpit, zdołał jeszcze nacisnąć starter rakiety.

Na ekranie monitora widać było, jak olbrzymie cygaro drgnęło. W kłębie dymów i ognia Piorun ruszył z wyrzutni.

- Mój plan, moja rakietka - zdołał jeszcze wyszeptać umierający Vorus.

W sterowni Cyborgowie pilnie obserwowali ekran monitora.

Voga była coraz bliżej.

- To będzie wspaniały widok - rzekł wódz do zastępcy. - Chmura ognia po eksplozji sięgnie dwa przecinek pięć milionów kilometrów.

- Ewakuacja stacji zakończona - przybył z meldunkiem jeden z żołnierzy. - Wszyscy są na statku, poza jednym, który otrzymał rozkaz zlikwidowania biologicznych organizmów.

- Zakończyć poszukiwania. Jeśli Doktor jest na pokładzie, to i tak zginie, gdy stacja uderzy o powierzchnię planetoidy.

Doktor oczywiście był na pokładzie. Więcej nawet, stał tuż za ich plecami. Wkradł się nie zauważony do sterowni i właśnie uruchamiał cyberczura. Metalowa bestia zaatakowała najpierw Cyborga, który zjawił się z meldunkiem. Wpiła się w jego korpus i zadała śmiertelną dawkę złota prosto w system hydrauliczny. Cyborg zawył, zachwiał się i padł na podłogę wstrząsany śmiertelnym skurczem.

Doktor skoczył, aby sygnąć złotym pyłem w stronę pozostałych nieprzyjaciół. Nie udało się. Potknął się o olbrzyma, który padł na podłogę i oto znalazł się, bezbronny, w obliczu dwóch śmiertelnych wrogów. Uniósł ręce do góry. To samo zrobiła Sara.

Przywódca Cyborgów wyjął broń.

- Jeśli zastrzelicie nas na miejscu, to nie obejrzymy największego wybuchu w dziejach kosmosu - powiedział Doktor półzartem, wskazując na ekran monitora. Planetoida była coraz bliżej.

- Ma pan rację, Doktorze. Wezmę to pod uwagę. - Wódz skinął na zastępcę, który trzymał pęk plastikowych sznurów. - Niech pan zwiąże swoją towarzyszkę, a ja następnie zwiążę pana, jeśli już

tak bardzo zależy panu na tym, aby przedłużyć sobie życie o parę minut.

Doktor zaczął nakładać więzy na Sarę. Voga wypełniała już cały ekran monitora.

- Szybciej! - krzyknął przywódca.**
- Robię, co mogę - odrzekł Doktor pojednawczym tonem.**

- Kwadrans minął - rzekł Tyrum, sprawdzając czas. - Obawiam się, że Doktor jednak nic nie wskórał.

- Nie byłbym taki pewien - rzekł Harry bardziej z nadzieją niż przekonaniem. - Doktor zawsze zostawia wszystko na ostatnią chwilę.

Kapitan zerknął na monitor kontrolny. Rakieta parła do przodu pełną mocą.

- Doktor ma jeszcze jakieś sześć minut. Jeśli nie skorzysta z transmateriałizatora, to...

Harry był zaskoczony. Nie zdawał sobie sprawy, że zostało już tylko sześć minut do uderzenia rakiety w stację.

- Tylko sześć, ponieważ stacja też ruszyła z miejsca i pędzi ku planecie. W ten sposób szybkość zbliżania rakiety i stacji sumuje się - wyjaśnił kapitan.

Spojrzeli na ekran. Cel był coraz bliżej.

Przywódca Cyborgów sprawdził więzy Doktora, a następnie Sary. - W porządku - powiedział. - Jeśli o nas chodzi, to przechodzi-

my teraz na statek i odcumowujemy od stacji. Warn zaś przypada w udziale zaszczyt obejrzenia z bliska największego wybuchu w dziejach kosmosu.

Gdy Cyborg wyszedł ze sterowni, Doktor z Sarą spojrzeli po sobie, a następnie na ekran monitora. Mieli wrażenie, że Voga coraz szybciej pędzi w ich stronę.

Największy wybuch w dziejach

- Ile jeszcze minut, Doktorze?
- Zakładając, że z Vogii została już wystrzelona rakietą, to dwie, góra trzy, więc się pośpiesz!
- Nie rozumiem. Nie mogę się ruszyć. Muszę powiedzieć, że solidnie mnie pan spętał.
- Oczywiście. Stary trick, którego nauczyłem się od magików. Wystarczy, żebyś podciągnęła lewy nadgarstek do góry, a prawy w dół i będziesz wolna.
- Sara uczyniła, jak polecił Doktor. Bez skutku.
- Przykro mi, Doktorze, ale chyba się pan pomylił.
- Radar sygnalizuje, że coś oderwało się od stacji - zameldował Magrik, obserwując bacznie przyrządy.
- Statek Cyborgów - szepnął Harry z przerażeniem. - Uciekają.
- A więc wszystko na próżno. Rakietą uderzy w pustą stację - Tyrum ze smutkiem pokiwał głową.
- Z tym tylko, że na stacji jest Doktor z Sarą, jeśli oczywiście jeszcze żyją.
- Inżynier Magrik zgłosił się do wyrzutni - rozległo się w głośniku. - Jest wyciek paliwa w rakiecie. - Nikt nawet nie zwrócił uwa-

gi, kiedy Magrik wybiegł. Wszyscy patrzyli na ekran, obserwując lot rakiety.

- Spróbuj odwrotnie. Prawą do góry, lewą w dół. Może rzeczywiście spętałem cię na odwrót.

- Udało się - oznajmiła Sara, uwalniając jedną rękę, a później drugą, po czym pośpieszyła na ratunek Doktorowi.

Uwolniony z więzów Doktor rzucił się do radia.

- Halo Voga. Halo Voga. Słyszycie mnie? Tu stacja namiarowa. Odbiór.

Głos Doktora dobiegający z głośnika w sali posiedzeń przyjęto entuzjastycznie.

- Doktorze! Nic panu nie jest? - Harry potwierdził łączność.

- Czy jest tam kapitan Stevenson?

- Jestem - zgłosił się kapitan.

- Niech pan powie Vorusowi, że Cyborgowie zbiegli ze stacji i żeby wymierzył raketę w ich statek.

- Vorus nie żyje, a poza nim nikt nie wie, jak obsługiwać pulpit sterowniczy, chyba że Magrik...

- Nie ma czasu na szukanie Magrika. Niech pan siada za konsolę. I - jedną chwilę...

Doktor przełączył monitor na raketę. Piorun był tuż-tuż. Jednocześnie zaś Doktor starał się przywołać na pamięć obraz konsoli w sali posiedzeń, z której Vorus był tak bardzo dumny.

- Niech pan słucha uważnie, kapitanie. Po lewej stronie na

pulpicie powinien pan mieć dwie dźwignie...

- Są - krzyknął Stevenson.

- Górna służy do kontroli kursu, lewą steruje się stabilizatory - Doktor mówił precyzyjnie i spokojnie, jak na wykładzie w auli uniwersyteckiej. - Górną niech pan przesunie w bok, dolną w dół.

Drżącymi rękami kapitan wykonał polecenie.

Doktor z Sarą patrzyli na ekran jak zahipnotyzowani. Mieli wrażenie, że głowica bojowa rakiety niemal muska już powierzchnię stacji. Nagle obraz na monitorze zmienił się. Zamiast groźnej głowicy pojawiła się cała rakietą w bocznym rzucie i widać było, że Piorun zmienia kurs i pędzi w przestrzeń kosmiczną.

- Znakomicie pan to zrobił, kapitanie - Doktor odetchnął z ulgą. - Teraz proszę namierzyć raketę na statek Cyborgów.

- Z przyjemnością.

- Ale to nie wszystko, Doktorze - wtrąciła Sara. - Chcę panu przypomnieć, że ciągle jeszcze czeka nas największy wybuch w dziejach. Stacja pędzi prosto na Vogę i mamy parę tych niebezpiecznych zabawek na pokładzie.

- To już niewielkie zmartwienie, moja droga. - Doktor przełączył monitor na planetoidę. Wyraźnie już było widać rzeźbę powierzchni Vogii. Na ekranie łańcuch górski zbliżał się z oszałamiającą prędkością. Doktor zajął się teraz przyrządami do kontroli lotu stacji. Pociągnął dźwignie wyrównywania kursu. Bez skutku. Pulpit sterowniczy był zablokowany.

- Dranie unieruchomili stery - krzyknął.

- I co teraz będzie?

- Największy wybuch w historii!

Kapitan pochylił się nad instrumentami sterowniczymi. Jeszcze raz skorygował kurs rakiety. Powrócił Magrik, ale Stevenson nie ustąpił mu miejsca. Osobiście chciał wyrównać rachunki z Cyborgami.

- Jest na kursie - mruknął Harry, patrząc w monitor. - Może jeszcze odrobinę w lewo.

Kapitan dokonał ostatecznych korekt lotu Pioruna. Cofnął ręce z pulpitu. Jeszcze chwila - pomyślał. Na ekranie monitora wi-dać było, że rakieta pędzi prosto w stronę wrogiego statku.

Przywódca Cyborgów z zadowoleniem patrzył na ekran. Nikt z obecnych nie dostrzegł niewielkiej plamki świetlnej, która przesuwiała się po radarze.

- Stacja uderzy w powierzchnię planetoidy za trzy i pół mi-nuty - oznajmił przywódca.

- Wodzu! - krzyknął jeden z Cyborgów. - Jakaś rakieta leci w naszą stronę.

- Cała naprzód! Manewry uniku! Włączyć tarczę energetycz-ną! - zaczął wykrzykiwać kolejne rozkazy przywódca. Przerwał do-piero wtedy, gdy Piorun pełną mocą wbił się w statek. Pojazd Cy-borgów rozsypał się w proch, śląc w przestrzeń fale rozpalonych molekuł.

W sali posiedzeń zapadło milczenie. Ciszę przerwał Harry.

- Oto i kres Cyborgów.

- Nigdy już nie zagrożą naszej planecie - dodał Tyrum, a w cichości ducha pomyślał, że jednak Vorus miał dobry pomysł. Rakietą spełniła swoje zadanie. Postanowił, że nada mu pośmiertnie wysokie odznaczenie. Jako męczennik sprawy Vorus zasługiwał na uznanie. A zresztą teraz, gdy przestał już zagrażać władzy Tyruma, można mu postawić pomnik. Rywala, który nie jest już groźny, warto uhonorować, to dobrze wpływa na nastroje wyborców.

- Ale dlaczego Doktor nie zmienia kursu stacji? - zawołał Magrik, pilnie obserwując monitory. - Nerva ciągle jeszcze jest na kursie kolizyjnym.

Wszyscy spojrzeli na ekran.

- Magrik ma rację - potwierdził kapitan, wymownie spoglądając na Harry'ego.

- Dajcie mu znać - zawołał Harry. - Doktor czasami zapomina o niebezpieczeństwie.

Doktor tymczasem zdjął osłony pulpitu sterowniczego i uzbrojony w liczne narzędzia starał się odblokować system hydraulicznych podnośników. Bez skutku. Cyborgowie pozakręcili wszystko z właściwą sobie siłą i Doktor nie dawał rady.

- Może kręci pan nie w tę stronę - zauważyła Sara. Doktor tylko spojrzął na nią spode łba i dalej mocował się z blokadą Cyborgów. Na monitorze widać już było poszczególne głazy na powierzchni planetoidy.

- Panie Doktorze... - rozległo się w głośniku.

- Doktor jest trochę zajęty, a o co chodzi, Harry? - rzuciła Sara do mikrofonu.

- Cześć Sara. Chodzi o to, że według naszych namiarów, jesteście na kursie kolizyjnym.

- Wiemy o tym lepiej niż wy. A żeby cię rozweselić, dodam, że mamy pełne ładownie bomb cybernetycznych.

- A co robi Doktor?

- Wszystko, co mogę, Harry - stęknął Doktor. Raz jeszcze nacisnął klucz i mutra ustąpiła. Po chwili system został odblokowany. Doktor pośpieszył do konsoly. Na zewnątrz rozległ się charakterystyczny szum, gdyż stacja zaczęła wchodzić w gęstsze warstwy atmosfery Vogii...

Obraz stacji wypełniał cały ekran monitora w sali posiedzeń.

- To już koniec - szepnął Tyrum. - Nie ma ratunku! - zawołał, jakby chciał wszystkich ostrzec.

Doktor z całą mocą pociągnął za stery.

- Powinno wystarczyć - sapnął - jeśli tylko silniki zareagują. - Skorygował trymer. Dźwignia ruszała się już całkiem swobodnie. Sara spojrzała na ekran. Powierzchnia Vogii jakby przesunęła się i zaczęła odpływać w dół ekranu. Niebывały wiraż wcisnął ją głęboko w fotel. Na ekranie pokazał się łańcuch górski, a szczyty pędziły prosto na nich z szybkością błyskawicy.

- Rozbijemy się, Doktorze - zapiszczała ze strachu.

- Trzymaj się - pocieszył ją. - Nie mogę zbyt gwałtownie zmieniać kursu, bo to stare pudło się rozpadnie. Nie zbudowano go z myślą o akrobacji kosmicznej. - Doktor pociągnął za stery. Góry

spłynęły w dół ekranu, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Doktor wprowadził do komputera nowe dane kursowe i włączył autopilota. Wstał z konsoli i potrząsnął głową, jakby jeszcze nie wierzył, że niebezpieczeństwo już minęło.

- Jest na automatycznym sterowaniu. Wkrótce wróci na dawną orbitę - powiedział, ze zdziwieniem stwierdzając, że Sara wcale nie słucha. Patrzyła na coś, co miał za plecami, a otwarte usta świadczyły, że jest absolutnie zaskoczona. Oto bowiem po drugiej stronie pulpitu sterowniczego stał TARDIS. Doktor kiwnął głową z zadowoleniem.

- Co za wspianiała koordynacja - rzekł. - Na wszelki wypadek wyłączę zaraz kompensatory czasowe, żeby znów nie rozpląnął się w przestrzeni. - Wyjął klucze i wszedł do wnętrza TARDIS.

Rozległ się szum transmateriałizatora i nagle pojawił się Harry. Ciągle jeszcze był pod wrażeniem przeżyć ostatnich minut, ale czuł się dobrze.

- Wierny jak pies - powiedział na widok TARDIS.

- A więc jedziemy? - Sara dziwiła się, że stać ją na taką spokojną uwagę po tym wszystkim, co przeżyli.

- Hej wy tam! - krzyknął Doktor z TARDIS. - Nie gapcie się. Wsiadajcie!

- Ale zaraz zjawi się tu kapitan. Tyrum też się wybierał, żeby się pożegnać - zaprotestował Harry. - Może poczekamy chwilę.

- Lepiej nie - odparł Doktor, przygotowując TARDIS do startu. - Znikniemy po angielsku, zwłaszcza że pilnie wzywają mnie na Ziemię.

- Skąd pan wie?

- Ponieważ cały czas miałem włączony system łączności czasoprzestrzennej - wskazał niepozorne urządzenie w kącie TARDIS. - Na wszelki wypadek, gdyby brygadier czegoś potrzebował.

Rozległ się znajomy dźwięk pracujących silników i TARDIS wystartował.

- I co? - zapytała Sara. - Brygadier dał znać?

- Właśnie - odparł Doktor.

Na chwilę zapadła cisza, gdy TARDIS wchodził w Wir Czasu.

- Twierdzi pan, że błyski na tym zegarze, to sygnał od brygadiera, żebyśmy natychmiast wracali? - Harry niedowierzająco pokręcił głową.

- Ależ oczywiście, mój drogi.

Sara podzielała wątpliwości Harry'ego. Brygadier, ich przyjaciel i szef z UNIT i dwudziestowiecznej Ziemi, wydawał się kimś tak odległym, że niemal nierealnym.

- Co więcej - ciągnął Doktor - mogę wam powiedzieć z dokładnością do jednego kilometra, skąd brygadier nadaje sygnał. - Nacisnął odpowiedni przełącznik i oczom całej trójki ukazał się ekran z obrazem Ziemi. Doktor dostroił urządzenie i pojawiły się kolejno: Wyspy Brytyjskie, Szkocja, później jeszcze pewien rejon w tejże Szkocji. Doktor był dumny ze sztuczki, którą najwyraźniej zaimponował swoim towarzyszom. Z zainteresowaniem popatrzył na ekran.

- To ciekawe - zawołał. - Nie mam pojęcia, dlaczego brygadier nadaje sygnał z okolic Loch Ness?* [*Odpowiedź znajdziecie w tomie pt. „Doktor Who i potwór z Loch Ness”.]